ŚWIATOWE ŻYCIE®

Maya Blake

Trzy miesiące nadziei

HARLEQUIN®

Maya Blake

Trzy miesiące nadziei

Tłumaczenie: Karol Nowosielski

HarperCollins Polska sp. z o.o.
Warszawa 2021

Tytuł oryginału: *An Heir for the World's Richest Man*

Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Limited, 2019

Redaktor serii: Marzena Cieśla

Opracowanie redakcyjne: Marzena Cieśla

© 2019 by Maya Blake
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2021

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A. Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiekolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Światowe Życie są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A. Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 34A

www.harpercollins.pl

ISBN 978-83-276-6438-9

Konwersja do formatu EPUB, MOBI: Katarzyna Rek / Woblink

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Saffron Everhart wpatrywała się w ogromny i ostentacyjnie kosztowny bukiet. Tym razem sytuacja była skomplikowana.

Przez te wszystkie lata nauczyła się odczytywać znaczenie i skalę prezentów, którymi ją obdarowywano. Bukiet kwiatów oznaczał brak snu przez kolejne trzy dni, kwiaty i bilet do kosztownego SPA w Szwajcarii – natychmiastowy wyjazd na co najmniej tydzień. Ostatni poziom zarezerwowany był dla kwiatów i biżuterii.

Wsadziła piękny bukiet do kryształowej wazy. Kosztował fortunę!

Powstrzymując przemożną chęć zaciągnięcia się kuszącym zapachem, wstała i odwróciła się w kierunku dwuskrzydłowych drzwi prowadzących do sąsiedniego biura. Za każdym razem konfrontacja z tymi drzwiami była jak atak szczytowy na Mount Everest. Nadeszła pora, by wreszcie pozostawić za sobą tę noc. Musiała odzyskać kontrolę nad swoim życiem, zanim będzie za późno.

Już miała postąpić naprzód, kiedy widok zmierzającego ku niej, elegancko ubranego kuriera zatrzymał ją w miejscu. Byli na czterdziestym dziewiątym piętrze. Żadnego zwykłego dostarczyciela nie wpuszczano na poziomy powyżej piętnastego. Ten zaopatrzony był w czarną aksamitną walizkę z dumnym herbem królewskiego jubilera.

– Nie – wyrwało jej się z ust. – Nie, nie, nie.

Kurier zatrzymał się ze zmieszaną miną.

– Przepraszam? – zagadnął niepewnie. – Mam przesyłkę dla panny Everhart. Będę potrzebował pokwitowania odbioru.

Potrząsnęła głową.

– Nie, to znaczy tak, jest pan we właściwym miejscu. Ale nie będzie żadnego pokwitowania, ponieważ nie będzie dostarczenia przesyłki. Prezent zostaje zwrócony do nadawcy.

Kurier był wyraźnie coraz bardziej zdenerwowany.

– Przykro mi, ale nie można go zwrócić. Był to niepodważalny warunek dołączony do przesyłki.

– Miałam już do czynienia z waszymi standardami. Wiem, że nie o to chodzi.

Na czole kuriera zaszklił się pot.

– W większości przypadków. Ale nie tym razem.

– Dlaczego?

– Ponieważ było to życzenie klienta.

Oczywiście – pomyślała. Jej spojrzenie powędrowało do walizki. Węzeł w jej brzuchu zacisnął się mocniej. Wolałaby, żeby zamiast swojej zawartości wypełniały ją jadowite skorpiony.

Kurier odchrząknął.

– Jeśli można, panno Everhart. Za pozwoleniem Jej Królewskiej Mości wykonana została replika jej naszyjnika. Nasz zakład dostąpił tego zaszczytu – powiedział z nabożnym tonem, wyraźnie zaskoczony jej reakcją.

Wiedziała, że to nie kurier był źródłem problemu, lecz mężczyzna siedzący zaledwie dwadzieścia stóp od miejsca, w którym stała. Podpisała więc dokumenty i z trwogą odebrała przesyłkę. Była pewna, że popełnia ogromny błąd.

Paczka coraz bardziej ciążyła jej w rękach i kiedy już nie mogła wytrzymać dłużej, wróciła do biurka, usiadła ciężko w fotelu i otworzyła niespodziewany prezent. Jej oczom ukazał się nieskazitelnie piękny naszyjnik z układanych warstwami brylantów i rubinów. Pozornie nic w nim nie wskazywało, że jest po prostu łapówką od bezwzględnego, zimnego i lekceważącego mężczyzny.

Już nigdy więcej – myślała, zaciskając zęby. Szybko przeczytała dokument, którego treść zmieniała już chyba z dziesięć razy i wcisnęła: „drukuj”. Złożyła wydrukowaną kartkę na pół i wstała. Zapukała pro forma i otworzyła drzwi do jaskini lwa.

Jej szef.

João Oliviera.

Najbogatszy człowiek na świecie roztaczał wokół siebie aurę magnetycznej siły, oszałamiającej witalności życiowej, zamkniętej w liczącej przeszło metr osiemdziesiąt sylwetce.

Saffron przekraczała te drzwi niezliczoną ilość razy, lecz wciąż nie umiała zapanować nad niepewnością i obawą, które zawsze odczuwała w jego obecności.

Oraz nad wspomnieniem jego elektryzującego dotyku.

João Oliviera miał grube, brązowe, nieco dłuższe włosy, które promieniowały złotą poświatą pod wpływem majowych promieni słonecznych, przedostających się przez szyby ogromnego okna. Pięknie ukształtowane kości policzkowe przykuwały uwagę do twarzy, a bezkompromisowa linia górnej wargi kontrastowała i uzupełniała zmysłowy łuk dolnej. Na mocnej szczęce zaznaczał się delikatny cień zarostu, nawet pomimo świeżo ogolonej twarzy. Całości dopełniały oczy, błyszczące, o odcieniu złotej whisky, otoczone długimi rzęsami.

Gdy weszła, obrzucił ją taksującym spojrzeniem, po czym przywołał do siebie gestem ręki.

Miał w zwyczaju pozbywać się marynarki tuż po rozpoczęciu swojego dnia pracy. Siedział za biurkiem w nieskazitelnie białej koszuli i w kamizelce od swojego włoskiego garnituru.

– Lavinia – rzucił do słuchawki, charakterystycznie przeciągając samogłoski. – Czekałem na telefon od ciebie.

Saffron przez lata walczyła ze swoimi pierwotnymi instynktami i pragnieniami związanymi ze wszystkim, co dotyczyło João. Gdy słyszała jego głos, wstrząsy pożądania uderzały w nią, niczym wystrzelone z łuku strzały.

Włączyła się do rozmowy. Lavinia Archer była głową imperium Archer Group, które skupiało w sobie grupy: Hotele Archer, Browary Archer, Wycieczkowce Archer, Linie Lotnicze Archer, a także wiele pomniejszych firm i inwestycji. Obecnie miała siedemdziesiąt cztery lata. Gdy rozeszła się plotka, że Lavinia planuje sprzedać całość swojego imperium, João zaczął roztaczać swój urok osobisty oraz oplatać wokół niej swoją pajęczą nić szachowych strategii i intryg.

– Wiem, że zmuszanie mnie do czekania sprawia ci wielką przyjemność – kontynuował gładkim tembrem głosu. – Mam nadzieję, że kiedy nadejdzie właściwa chwila, pozwolisz mi się zadowolić.

Mówiąc to, nie spuszczał wzroku z nadchodzącej Saffron, która potknęła się na dźwięk tych słów. Zawstydzona usiadła na brzeżku sofy.

Z głośnika wybrzmiał uwodzicielski śmiech, którego dźwięk wywołał w niej nagłe ukłucie zazdrości. Wiedziała doskonale, że pomimo oddania swojemu szefowi czterech lat życia nie mogła rościć sobie prawa do jego zaangażowania. Była doskonałą organizatorką i to było dla niego najważniejsze.

Nigdy jej nie zapytał o życie prywatne. Po prawdzie nie miała na nie czasu. Była tak zaangażowana w João Olivierę, że dwukrotnie przegapiła swoje urodziny. To była kolejna rzecz, która zmusiła ją do spojrzenia krytycznie na własne życie.

Saffron postanowiła nie tracić już więcej energii. Zakończymy to zadanie i już mnie nie ma. O jego kolejnych schadzkach z supermodelkami nawet się nie dowiem – pomyślała z satysfakcją. Usłużny umysł przypomniał jej zaraz, że od Maroka nie widziała, żeby się z kimkolwiek umawiał, ale…

Spojrzała na szefa, który, przebiegając wzrokiem wzdłuż jej ciała, zatrzymał się chwilę na trzymanym przez nią w dłoni dokumencie, po czym skupił się na oczach.

Jej serce zadrżało.

Od ostatnich ośmiu tygodni traktował ją chłodno i niewzruszenie. Musiała przestać udawać, że jej życie nie skurczyło się wyłącznie do bycia satelitą krążącym wokół świetlistej osobowości João.

Maroko się nie wydarzyło – pomyślała ze złością i zacisnęła wargi.

– *Sim*. Oczywiście, że będę cię szanował. Zadbam o to, by ta spuścizna trafiła w najlepsze ręce – powiedział do słuchawki, stukając smukłymi palcami w gładki, szklany blat eleganckiego biurka.

Podniósł rękę i skierował dłoń po trzymany przez Saffron dokument. W geście tym zawarte było milczące polecenie.

Upływały długie sekundy. João wpatrywał się w Saffie, słuchając kokieteryjnych słów Lavinii. Wreszcie, po całej minucie, spojrzał na pismo i przymrużonymi oczami przebiegł błyskawicznie treść. Jego twarz stężała.

– *Sim* – zamruczał do słuchawki. Saffie poczuła, że jej wnętrzności wywracają się na drugą stronę. – Ale pamiętaj. Nie jestem cierpliwym człowiekiem. Chcę tego i jestem gotów zagrać w twoją grę, lecz… kiedyś

któreś z nas może się znudzić. Bądź gotowa i na taki scenariusz, moja droga. Do następnego razu.

João swoim charakterystycznym pstryknięciem palcami zakończył rozmowę. Następnie chłodne, zwężone oczy powędrowały od pisma rezygnacyjnego do jej twarzy.

– Co to ma znaczyć? – spytał niskim, grobowym głosem.

– Dokładnie to, co jest tam napisane. Składam rezygnację.

Błysk niedowierzania przebiegł przez jego oblicze, następnie odwrócił kartkę.

– Z powodów osobistych? – zacytował. – Nie masz prywatnego życia, a więc nie możesz mieć żadnych „powodów osobistych”.

Saffie musiała uodpornić się na bezlitosne lekceważenie, z jakim João traktował wszystko, co stawało na przeszkodzie pomiędzy nim a celem, który chciał osiągnąć.

– Jestem wdzięczna, że mi to tak dokładnie wyjaśniłeś. Dziękuję także za kwiaty i biżuterię, jednak nie będę mogła ich przyjąć.

Na jego twarzy ani na chwilę nie zagościł wyraz niedowierzania, chociaż taki prezent usatysfakcjonowałby każdą koronowaną głowę w Europie.

– Zmierzasz do czegoś, jak rozumiem?

– Wszystko jest w tym liście. Rezygnuję z przyczyn osobistych, zaraz po upływie wymaganego okresu.

João spojrzał na list z pogardą.

– Jesteś jedną z najbardziej kompetentnych, odpowiedzialnych i ciężko pracujących osób, jakie znam. Przez te cztery lata nie było zadania, z którego nie wywiązałabyś się w sposób więcej niż zadowalający. – Wyprostował się w fotelu, uwypuklając kształty swego pięknie zbudowanego ciała.

Saffron ścisnęła uda. Żar przeszył jej wnętrze na wspomnienie tego ciała nad nią, nago, w niej...

– Dziękuję. To miło, że zauważyłeś.

Przez chwilę analizował jej sarkazm.

– Tym bardziej zadziwia mnie, że postanowiłaś ubrać swoją rezygnację w tak… cudaczną formę. Jesteś „zaszczycona możliwością” pracy ze mną? Życzysz mi „świetlanej przyszłości”?

Chciała, by list pozbawiony był aspektu emocjonalnego. Miała mu za złe, że podszedł do tego tak szyderczo.

– Wierz mi lub nie, to wszystko prawda…

– Wszystko to nonsens! – W jego głębokim głosie nie było ani nuty litości. – Nie przyjmuję twojej rezygnacji. Zwłaszcza w tak newralgicznym punkcie moich interesów z Lavinią. Musimy zmienić taktykę. Wyciągniemy ją z jej strefy komfortu. Dasz sobie z tym radę?

Saffron cudem powstrzymała wybuch złości. Była, jak to João zaznaczył, solidna, opanowana i… posłuszna – dodała w myślach.

Te cechy miały przynieść jej, sierocie z Domu Dziecka Świętej Agnieszki, lepszą przyszłość. Miała zostać wybrana spośród wielu innych dzieci. Zawsze jednak był to ktoś inny.

To wszystko powtarzało się niezliczoną ilość razy. Nauczyła się nie okazywać żadnych oznak przygnębienia i rozpaczy, ani nawet gniewu, jak niektóre dzieci. Wreszcie, gdy miała czternaście lat, nadeszła pora i na nią. Nie pokazała wtedy po sobie żadnych oznak radości, by nie zostać źle zrozumianą. Przez dwa lata szczęścia pielęgnowała w sobie tę samokontrolę, aż jej zastępcza matka zaczęła gwałtownie podupadać na zdrowiu.

Saffie przez osiemnaście miesięcy czuwała przy jej łóżku. Nie uroniła ani jednej łzy.

Gdy jej zastępcza matka umarła, na skromnej uroczystości pogrzebowej podtrzymywała na duchu obecnych, przytaczając najczulsze wspomnienia o tej wspaniałej kobiecie, aż na wszystkich twarzach zagościł uśmiech. Płakała w samotności.

Prawie z tym samym opanowaniem odwróciła się i wyszła z gabinetu João. Usiadła przy swoim biurku, po czym wybrała numer, który znała już na pamięć. Po rozmowie wzięła atłasowe pudełko i wróciła do biura swojego szefa.

– Czy coś ci dolega? – zapytał João. Brazylijski temperament stopił powłokę obojętności. – Może wezwać firmowego lekarza?

– To nie będzie konieczne. Czuję się dobrze. Po raz pierwszy od dłuższego czasu widzę rzeczy bardziej przejrzyście.

João stężał.

– I te rzeczy dotyczą porzucenia pracy?

– Tak – odparła.

Cisza trwała całą wieczność.

– Zdajesz sobie sprawę, że mogłaś przedstawić całą masę innych powodów oprócz „przyczyn osobistych”, których szczegóły tak skrzętnie skrywasz?

Ta obserwacja ją zmroziła. Zastanowiła się, czy podświadomie nie dała mu znaku.

– Miałam nadzieję, że to uszanujesz.

– Nigdy się nie zwodziliśmy, Saffie. Twój list jest dla mnie sygnałem ostrzegawczym. Widzę to i chcę poznać przyczyny tej afery.

– Po pierwsze: to nie żadna afera. Po drugie: czy przyszło ci kiedyś do głowy, że nie chcę robić tego do końca życia? Ty zapewne jesteś niezniszczalny, ale niektórzy są świadomi swojej śmiertelności. Wybacz

więc, że nie pragnę tyrać siedem dni w tygodniu po osiemnaście godzin dziennie.

Cień przebiegł przez brwi João, a w jego oczach mignęło coś na kształt rozczarowania. Był zawiedziony.

– Więc o to chodzi? Jesteś przepracowana? Masz moją zgodę na zatrudnienie jeszcze jednego asystenta.

Saffie podeszła do biurka i położyła na nim pudełko.

– Nie mogę tego przyjąć – stwierdziła. – Nawet jeżeli nie odejdę. Kwiaty przekazałam na galę dobroczynną lady Monroe. Jest pewna, że ten bukiet zostanie zlicytowany za co najmniej dwadzieścia tysięcy funtów…

– Wystarczy już tego. Powiedz, czego oczekujesz, i zamknijmy ten temat, żebyśmy mogli wrócić do pracy! Jeśli tego chcesz, oddaj kwiaty, ale naszyjnik jest twój.

– João…

– Na pewno nie chodzi o pieniądze. Już teraz płacę ci dziesięć razy więcej niż pozostałym. Mogę potroić tę kwotę, ale musisz zostać…

– Nie chodzi o to.

Kiwnął głową.

– *Bom*, przynajmniej dokądś zmierzamy. A więc o co?

Zadrżała. Nie mogła mu powiedzieć, że głównym punktem zapalnym był jego chłód po wspólnej nocy w Maroku.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego odchodzę? Dobrze. Uznałam, że nie jesteś receptą na moje wszystkie problemy.

Zmrużył oczy.

– Co to znaczy? Powiedz jasno!

Saffron poczuła ukłucie gniewu.

– Albo co? Zatrzymasz mnie siłą?

Zapadła cisza. João powoli uniósł się zza swojego biurka. Przy jego wzroście poczuła się jeszcze mniejsza. Powoli zdjął spinki z mankietów koszuli i starannie podwinął rękawy. Saffie nie umiała się oprzeć temu pokazowi męskości. Widok jego umięśnionych, mocnych ramion jeszcze bardziej pobudził jej podrażnione libido.

– Co się dzieje, Saffie? – Mocny głos João wyrwał ją z kiełkującego pożądania.

Nerwowo zacisnęła dłonie na pasku torebki. Wiedziała, że rezygnacja z funkcji jego osobistej asystentki będzie trudna. Zwłaszcza po czterech latach. Nie sądziła jednak, że będzie aż tak ciężko.

Spanikowała. João nie zamierzał jej wypuścić, dopóki nie przedstawi mu jakiegoś dobrego powodu. Nie zdawała sobie sprawy, że nerwowo oblizuje wargę, aż do momentu, w którym zobaczyła jego spojrzenie.

Na moment zniknęły z jego twarzy wszystkie ślady obojętności.

– Pamiętasz, kiedy stałam się twoją asystentką? Miałam tu być dwa tygodnie. Minęły cztery lata.

– Masz ostatnią szansę na podanie mi jakiegoś sensownego powodu, Saffie.

W Saffron zapłonęła nagła potrzeba walki. Ignorując kłującą duszność w piersi, dzielnie postąpiła naprzód.

– Dobrze. Więc chcesz nagiej prawdy? Oto ona. Jesteś genialnym biznesmenem, João, lecz jesteś także bezlitosnym wampirem. Wciąż bierzesz, myśląc, że diamenty, kwiaty i wielkie pieniądze zagwarantują ci władzę nad moim życiem. Odłożyłam swoje plany, a teraz do nich wracam. Rezygnuję z pracy, ponieważ chcę więcej od życia. Marzę o rodzinie, o dziecku, o zamienieniu tego w rzeczywistość.

Przerwała. Wewnątrz cała się trzęsła z emocji przed ostatnimi słowami, które były konieczne:

– Pragnę wolności od ciebie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Cisza, która zapadła po dosadnym monologu Saffie, pulsowała niebywałą intensywnością. Osłupiały João odbierał jednocześnie miliony impulsów naraz.

Szok. Granica furii.

Głębokie rozczarowanie.

Konsternacja.

To ostatnie dominowało. Uczucie, że został złapany z opuszczoną gardą w chwili, w której myślał, że nic mu nie grozi, że wszystko jest doskonale zgrane.

Przez chwilę wpatrywał się w swoją asystentkę, zastanawiając się, czy przypadkiem nie był to jakiś ponury żart. Lecz ona nie miała w zwyczaju żartować z takich rzeczy. Ich relacja była świetnie naoliwioną symbiozą współdziałania, wydajności, wzajemnego uznania dla ciężkiej pracy i dobrze nagrodzonej satysfakcji z odniesionego sukcesu.

Była – pomyślał. – Aż do tej nocy, podczas której upici sukcesem daliśmy upust swoim podstawowym instynktom.

Sądził, że pozostawili to już za sobą. Praca Saffie nie ucierpiała. Interesy miały się coraz lepiej.

Powstrzymując wybuch gniewu, przyjrzał się jej twarzy, na której odnalazł zaciekłą determinację. Zdał sobie sprawę: Ona naprawdę tego chce. Chce odejść, by gonić za marzeniami. Za rodziną. Za dzieckiem.

Poczuł się, jakby nagle został rzucony w wirujący ocean bez kamizelki ratunkowej. W swoim życiu miał ich wiele, na każdą sytuację inną. Chciał mieć pewność, że wszystko w jego otoczeniu można swobodnie zastąpić. Jachty, samoloty, dyrektorzy spółek i przywódcy wolnego świata – wszystko to czekało na jego telefon.

Z wyjątkiem Saffron Everhart. Ona jedna była niezastąpiona.

– Więc, uściślijmy – odezwał się. – Rzucasz karierę. Po co? Dla wewnętrznej podróży, by odnaleźć siebie?

Przez chwilę nie odpowiadała.

– Tak, João. Odchodzę dla siebie, lecz nie porzucam kariery. Mam osiem tygodni zaległego urlopu. Mogę zostać i pomóc przygotować twojego nowego asystenta albo…

Odwrócił się błyskawicznie.

– Trochę się pospieszyłaś. Jeszcze nie zgodziłem się na twoje odejście – rzucił.

Uniosła brodę.

– Na szczęście w tym kraju istnieje prawo, które nie pozwala na zatrzymanie mnie w pracy, której nie chcę wykonywać, czyż nie?

Uśmiechnął się sztucznie.

– Pójdziesz z tym do sądu?

– Jeśli mnie zmusisz.

Był pewien, że mówiła prawdę. To, jak dzielnie znosiła jego wzrok, pod ciężarem którego inni dawno by się ugięli, wyzwalało w nim mnóstwo różnych emocji, a nawet… przyciągało go.

Złapał się na tym, że stoi przed Saffie, obserwując delikatną linię jej szyi. Postanowił natychmiast się otrząsnąć.

– Zamierzasz pracować dla kogoś innego?

– No… tak – przyznała.

– Dla kogo?

– To nie ma znaczenia…

– Oczywiście, że ma. Kto to jest, Saffie?

Jeszcze śmielej uniosła podbródek.

– William Ashby.

Fakt, że Saffron chciała porzucić João dla kogoś o tak wyraźnie niższej randze w biznesie, rozwścieczył go jeszcze bardziej.

– Nie sądziłem, że możesz być tak naiwna, Saffie.

– Słucham?

– Naprawdę sądzisz, że pozwolę ci się zatrudnić u mojej konkurencji? Z całą twoją wiedzą na temat mojej firmy?

– Myślisz, że mogłabym zawieść twoje zaufanie? Po… – ucięła, lecz on już wiedział.

– Po czym? – podchwycił. – Po Maroku? Może wreszcie doszliśmy do sedna tego przedstawienia.

Mrugnęła nerwowo i potrząsnęła głową, kierując jego uwagę na błyszczącą kaskadę włosów. Wyobraził sobie, jak opadają swobodnie na jego ciało.

– Nie doszliśmy – zaprzeczyła Saffie. – Nie chcę o tym rozmawiać.

– A ja chcę. Powiedz mi, że Maroko nie stało się przyczyną tej dzisiejszej sensacji, i przejdziemy dalej. Oczywiście nie do marzeń o rodzinie czy dzieciach, bo, jak oboje dobrze wiemy, nie masz nawet chłopaka.

Ogień zapłonął w oczach Saffie.

– Skąd pomysł, że wiesz o mnie wszystko?

Zbliżył się do niej tak blisko, że czuł wyraźnie delikatny, kwiatowy zapach jej perfum.

– Dowodziłaś organizacją mojego życia przeszło cztery lata. To znaczy, że ja jestem równie świadomy twojego. To nie jest tajemnicą, Saffie…

– Pozwolę sobie nie zgodzić się.

João wciągnął powietrze. Z jakiegoś powodu uparła się go opuścić. I to w najbardziej kluczowym momencie jego życia.

– Chcesz, żebym przeprosił cię za to, co zaszło w Maroku?

Otworzyła szeroko oczy. Ich błękit wciągał go do środka.

– Co? Nie. Mówiłam, że…

– Obawiam się tego, co powiesz. Tak jak obawiam się tendencji kobiet do niemówienia tego, co naprawdę myślą.

Jej oczy rozbłysły.

– Przykro mi, że muszę wyprowadzić cię z błędu, ale nie jestem jak twoje inne kobiety. Jeżeli usłyszane przez ciebie po raz pierwszy w życiu słowo „nie” zrani twoje ego, to…

– Uważaj, Saffie.

– Dokładnie o tym mówię – kontynuowała. – Nie chcę być już twoją asystentką. Chcę żyć własnym życiem. Masz moje wypowiedzenie. Kontaktowałam się już z działem kadr. Zaraz po twojej akceptacji przygotują mi świadectwo pracy.

Odwróciła się na obcasie, prezentując sztywny łuk kręgosłupa, krągłe biodra i kuszący kształt pośladków.

– Nie zapomniałaś o czymś?

Zatrzymała się na chwilę, a João wykorzystał ten moment i zdecydowanym krokiem podszedł do niej blisko. Nie mógł pozwolić, by tak po prostu wyszła z jego gabinetu.

– O czym? – wypaliła.

– W twoim kontrakcie widnieje klauzula mówiąca o tym, że każdy twój następny pracodawca musi zostać przeze mnie sprawdzony i zaakceptowany. Myślisz, że pozwolę, żebyś uciekła ode mnie do Ashby’ego?

– Dlaczego mi to robisz?

– Chcę zatrzymać najlepszą osobistą asystentkę, jaką kiedykolwiek miałem.

Kiedyś tym komplementem karmiłaby się cały dzień.

– Jestem pewna, że następna też sobie świetnie poradzi.

Nozdrza João rozszerzyły się.

– Wykorzystasz cały zaległy urlop, jak tylko zamkniemy sprawę wykupienia Archer.

– João…

– Polecisz moim odrzutowcem w dowolne miejsce, jakie wskażesz pilotowi. Obiecuję, że nie będę cię zmuszał do powrotu, zanim porządnie nie wypoczniesz i nie pozbędziesz się tego… utrzymującego się niezadowolenia.

Oferta, którą jej złożył, była więcej niż hojna, lecz mowa ciała João wyrażała totalne niezadowolenie.

– Mówiłam ci. Nie mogę jednocześnie tu zostać i dostać to, czego pragnę.

– Ten zarzut interesuje mnie najbardziej. Z czego wysuwasz to założenie?

– Pracowałam z tobą przez cztery lata. Wiem na przykład, że temat rodziny i dzieci w ogóle cię nie interesuje.

Wzruszył ramieniem.

– Nudzi mnie temat dzieci.

Saffie odetchnęła z bólem w piersi.

– Bądź więc tak miły i się odsuń. Przestanę cię zanudzać.

Postanowiła go obejść. Nagle chwycił ją w talii. Ciepło jego dotyku wywołało w niej dreszcze. Westchnęła. Jej najważniejszą zasadą było: nigdy nie wchodzić z nim w kontakt fizyczny!

Tej lekcji nauczyła się w jedyny w swoim rodzaju, niezapomniany i namiętny sposób.

Umowa Gazociągu Montcrief.

Jej zwykle opanowany szef zachowywał się, jakby coś go opętało. Dostał prawdziwej obsesji na punkcie tego kontraktu.

Wtedy po raz pierwszy Saffie dowiedziała się o istnieniu Pueblo Oliviery. Było jasne, że Montcrief to sprawa osobista, że João zrobi wszystko, by go pokonać.

Swojego ojca.

Sukces był podwójny. Nie tylko przypieczętował umowę z Montcrief, lecz również ubił kolejny wielomiliardowy interes, dzięki któremu stał się właścicielem trzeciego już w swoim dorobku klubu piłkarskiego brazylijskiej Serie A.

Totalne zwycięstwo zwieńczone zostało euforycznym świętowaniem całej kadry wykonawczej. Przyjęcie, na którym nie brakowało połykaczy ognia, żonglerów i egzotycznych tancerek, odbyło się w zapierającej dech w piersi, ekskluzywnej willi w Marrakeszu. W tym zmysłowym otoczeniu, Saffie poddała się pokusie, na której wspomnienie do tej pory odczuwała skurcze żołądka i gorączkę podekscytowania.

Chciała móc zrzucić winę za te wydarzenia na zbyt wiele lampek Krug Clos d’Ambonnay lub na pierwszy wykonany przez siebie taniec brzucha,

kiedy ubrana w sporo odsłaniający kostium i ozdobiona egzotyczną biżuterią poczuła się tak kobieco i seksownie.

Lecz nie mogła. Prawdziwym powodem był wyraz twarzy João, gdy oparty o kamienny filar przypatrywał się jej tańcowi. Dlatego poszła w jego kierunku, kołysząc biodrami. Sekundę później czuła już ciepło uścisku, gdy ujął jej talię. Przez chwilę patrzył jej w oczy, po czym pocałował z intensywnością, jakiej do tej pory nie znała.

Ten pocałunek rozpalił ich krew. I kiedy wziął ją wówczas na ręce, bez chwili wahania oplotła ramionami jego szyję. Wyniósł ją wtedy z przyjęcia, prosto do swojego apartamentu.

Wtedy poznała, jak to jest, być upitą pożądaniem i uwagą João. Zdobył ją wówczas i obawiała się, że jej życie już nigdy nie będzie takie jak dawniej.

– Nie jesteś jak inni, Saffie. Nie nudzisz mnie – wyrwał ją z zadumy chrapliwy głos. Przypomniała sobie, gdzie się znajduje. Przypomniała sobie też, jak wtedy w Maroku, po wspólnej nocy, przywitał ją z taką obojętnością, jakby się nic nie stało.

– Co to ma znaczyć?

Spojrzał na miejsce, gdzie trzymał dłoń. Jego kciuk powoli przesuwał się po jej skórze.

– Jesteś moją prawą ręką – powiedział, a jego akcent delikatnie się wzmocnił. – Jednym z najważniejszych trybików w mojej biznesowej maszynie. Byłbym idiotą, gdybym pozwolił na odejście tak wartościowej osoby.

Trybik. Biznes. Wartość.

Trzy krótkie pojęcia, a w nich wszystko to, czym zawsze będzie dla João.

– Naprawdę zamierzasz to zrobić? Chcesz zrezygnować z kariery? – naciskał.

Znalazła w sobie siłę, by spojrzeć mu w twarz.

– By móc cię opuścić, tak – odparła.

Jego bystry wzrok lustrował ciało Saffie, zatrzymując się na nerwowo unoszących się i opadających piersiach pod jedwabną fioletową bluzką, długich nogach i kształtnych biodrach.

– Nic nie zmieni twojego zdania?

Szaleńcze tempo życia João nie pozwalało na snucie dalekosiężnych planów. Na pewno nie takich, w których pojawia się rodzina i dziecko.

Niezliczoną już ilość razy wyjeżdżali do Aspen tylko po to, by po pierwszym zjeździe na nartach João żądał szwajcarskich Alp. Tego samego dnia.

Budził ją w środku nocy, by odwiedzili chilijską winnicę, którą następnie kupił w przypływie natchnienia za czterdzieści milionów dolarów. Niedługo później jego prywatny odrzutowiec startował z prywatnej greckiej wyspy.

To nie mogło już dłużej trwać.

– Nie – odparła. – Nic, co mi powiesz, nie zmieni…

– Wiem, że chodzi o Maroko. Dokładnie o seks w Marrakeszu, czyż nie? – bez pardonu wszedł jej w słowo.

Saffie poczuła, że opada z sił. Na szczęście były za nią drzwi, o które mogła się oprzeć. Miała niejasne wrażenie, że chyba głupio otworzyła usta.

– Co? – zamruczała, nie poznając własnego głosu.

– To był błąd, który nie powinien się przydarzyć. Jeżeli cię to usatysfakcjonuje do tego stopnia, że zechcesz zostać, to przepraszam.

– Ja… Nie…

– Nie przyjmujesz moich przeprosin? – Oczy João zapłonęły. – Może nie wierzysz w ich szczerość?

Prawie się roześmiała.

Doskonale wychodziła mu bezwzględność i arogancja, lecz zawsze mówił to, co naprawdę myślał. Dlatego Saffie uwielbiała pracować dla niego. Powstała między nimi specyficzna synergia, efekt bliskiej współpracy na wielu płaszczyznach, podkreślony dodatkowo tym, że w towarzystwie jego wybitnego umysłu nigdy się nie nudziła.

– Nie. To nie o to chodzi.

Uniósł lekko jej podbródek, zmuszając, by spojrzała mu w oczy.

– Trzy miesiące, Saffie. Tylko o tyle proszę. Zamkniemy sprawę z Archer i będziesz mogła odejść. Jeśli zechcesz.

Poczuła jego zapach, gorący, sugestywny i ziemisty. Mieszał się z zapachem wody kolońskiej. Ruszyła niezgrabnie, niczym niewidoma, w kierunku drzwi.

– Saffie – usłyszała niski gardłowy głos. – Dokąd idziesz?

– Na zewnątrz, zaczerpnąć powietrza. Albo z powrotem do swojego biurka, wszystko jedno, moja odpowiedź to w dalszym ciągu: nie.

Sięgnęła do drzwi, lecz od ich pchnięcia powstrzymał ją ciężar ciszy. Zwalczyła w sobie potrzebę odwrócenia się, by sprawdzić reakcję João. Milczenie oznaczało, że jego umysł właśnie się kalibruje i przelicza nowe dane.

– Potrzebuję cię.

Z wrażenia wciągnęła oddech. Przez ponad cztery lata nie słyszała, by João kogoś potrzebował. On chciał, pożądał, brał…

Odwróciła się.

– Pogrywasz sobie ze mną, João?

Stał przed nią wyprostowany, z rękami opartymi o biodra.

– Chcę, żebyś została. I zrobię wszystko, żeby tak się stało. Tym bardziej że znasz mnie lepiej niż ktokolwiek na tym świecie.

Jeśli chodzi o interesy – dodała błyskawicznie komentarz w swojej głowie.

Odgadywała jego potrzeby i zabezpieczała je bezbłędnie, ale nie znała intymnych szczegółów jego życia. Zdążyła się jedynie zorientować, że João Oliviera wybił się z brazylijskich *faveli* do grona najpotężniejszych ludzi na całej planecie. Media nieustannie informowały o jego przeszłości, a notka biograficzna na stronie kompanii zawierała aż trzy akapity, lecz poza informacją o śmierci jego matki w młodym wieku trzydziestu pięciu lat nie było w nich niczego naprawdę osobistego.

Nie znała przyczyny powstania głębokiej blizny na wewnętrznej stronie lewej dłoni. Nie wiedziała, skąd wysyłał jej lakoniczne życzenia w przededniu Bożego Narodzenia, po których zawsze znikał na dwadzieścia cztery godziny.

Wiedziała za to, że przez życie prowadzi go wściekła intensywność, na granicy obsesji.

– Tak naprawdę wcale cię nie znam, João. I nie ma nic złego w tym, że chcę wybrać inną drogę.

Na jego szczęce drgnął mięsień.

– Rozkwitasz przy moich wyzwaniach, Saffie. Zanudzisz się śmiertelnie na tak wolnych obrotach.

Musiała to przyznać. Przez ostatnie cztery lata João pokazał jej świat, o którym inni nawet nie śmieli marzyć. Była świadkiem, jak go podbijał, kawałeczek po kawałeczku. Pieniądze, które w tym czasie zarobiła, wystarczyłyby na resztę jej nowego, spokojnego życia.

– Już podjęłam decyzję. Mogę przedłużyć okres wypowiedzenia do sześciu tygodni, jeżeli…

Uciął jej wypowiedź władczym gestem ręki.

– Nie chcę, byś była tutaj jedną nogą, a drugą już za drzwiami – powiedział. – Potrzebuję pełnego zaangażowania w sprawę Archer.

– A jeśli negocjacje potrwają dłużej niż trzy miesiące?

– Tak się nie stanie.

Wstrzymała oddech. Nie mogła zaprzeczyć, że wyrzekając się buzującego adrenaliną świata Oliviera Enterprises, i samego João, zostałaby sama w pustym, szarym krajobrazie, z rozmytą wizją dziecka, majaczącą gdzieś w oddali. Zrozumiała to w dniu swoich dwudziestych ósmych urodzin: czas i życie przeciekało jej przez palce.

– Chcę to usłyszeć, Saffie – naciskał João, widząc jej wahanie.

Euforyczna mgła rozmyła poczucie zdrowego rozsądku.

– Dobrze. Zostanę do końca umowy z Archer.

João nie triumfował. Kiedy wreszcie spojrzał w jej oczy, w jego wzroku coś się zmieniło.

– I, João…

– Tak?

– Obiecaj, że nie staniesz mi na drodze, kiedy ten moment nadejdzie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Miał to, czego pragnął.

Saffron zostanie. Zdobył czas, by przygotować się lepiej. Ta zgoda dawała mu wszystkie atuty.

Lecz słowo „tak” uwięzło w jego gardle. Świadomość, że udało mu się zażegnać nadchodzącą katastrofę, wywoływała w nim uczucie wielkiej satysfakcji. Było powiązane z czymś, czego nie umiał dokładnie nazwać.

Cała ta sytuacja usunęła mu grunt spod nóg i nie był już pewien, na czym stoi. Pomyślał, że może lepiej wyszedłby na tym, gdyby pozwolił jej odejść, zostać matką dziecka jakiegoś obcego mężczyzny…

Zmroziło go, jak brutalnie i bezwzględnie odrzucił ten pomysł w swojej głowie.

Niedługo po swoich dziesiątych urodzinach usunął ze swoich myśli wizję posiadania kiedykolwiek dziecka, czy – broń Boże! – rodziny. Przez resztę życia ani razu nie zastanawiał się nad zmianą podjętej wówczas decyzji. Jednak akceptował to, że inni ludzie mogli tego chcieć. Nie rozumiał, dlaczego wizja jego osobistej asystentki, obierającej tę samą drogę, tak bardzo go uwierała. Odpowiedź przyszła po krótkiej chwili: nie był gotowy, by ją wypuścić. Zbyt długo przygotowywał Saffron Everhart do bycia idealną prawą ręką.

– Zgadzasz się? – Z zadumy wyrwał go jej cichy głos.

Poczuł żar w podbrzuszu. Był nagły i wciąż wzrastał. Od momentu tamtej nocy w Maroku bezskutecznie starał się pozbyć tego uczucia. Gdy

Saffie weszła wcześniej do jego biura, bezwzględnie zamaskował swoje fizyczne podniecenie na jej widok.

– João?

Zgrzytnął zębami, karcąc się za to, że na początku jej pracy nalegał, by mówiła do niego po imieniu. Nienawidził swojego imienia od chwili, w której Pueblo Oliviera wyrzucił go z willi w Sao Paolo, dwadzieścia lat temu. Znienawidził wtedy również swoją matkę za to, że mu je nadała. Pomimo tego pozostał przy nim. Chciał pokazać Pueblo, że nie da się tak łatwo pokonać.

– Porozmawiamy o tym czy będziesz się tylko przyglądał? – ponagliła pytaniem Saffie.

João podniósł wzrok na jej urzekające, błękitno-szare oczy. Były inteligentne i przykuwały uwagę, podobnie jak jej pełne usta. Przypomniał sobie, że te drugie nie były tak ściśnięte, kiedy je całował. Były miękkie i cudownie smakowały, kiedy wzdychały z przyjemności. Kiedy krzyczały z rozkoszy…

Wziął się w garść.

– Wydajesz się pewna siebie, Saffie. Może będziesz mnie błagać o możliwość pozostania po tych trzech miesiącach? – powiedział tonem, który zabrzmiał mniej przyjemnie, niż zamierzał.

Wstrzymała oddech i przygryzła dolną wargę.

– Wiem, czego chcę.

– *Bom* – przyznał. – Masz moje słowo. Czy możemy teraz wrócić do właściwych zajęć?

Spojrzała na niego dziarsko. Był pełen podziwu dla jej opanowania.

– Zrobiłam listę, o którą prosiłeś.

– Dobrze. Podoba ci się naszyjnik, który dla ciebie zamówiłem? – zapytał, kiedy otwierała już drzwi.

– Tak. – Spojrzała na niego czujnie. – Jest olśniewający…

– Skoro już wiemy, że zostajesz, proszę cię, żebyś go założyła na aukcję w Szanghaju z Lavinią. Chyba nie chcesz się ze mną o to kłócić?

Saffie tylko cicho westchnęła na tę prowokację.

– Mamy umowę, João. Do jej końca sprawy będą szły zwykłym torem, zadbam o to. Lavinia będzie w Szanghaju i otrzyma od ciebie ten kwiat, a on zakwitnie po raz pierwszy od ośmiu lat. Czy o czymś zapomniałam?

João musiał się upewnić, że pokona swojego ojca w pojedynku o królestwo Lavinii Archer. Człowiek, który go spłodził, mógł się nazywać milionerem, ale to João był tym Olivierą, którego imię wymawiano z szacunkiem i podziwem. To do niego światowi przywódcy zwracali się po porady, zarówno biznesowe, jak i geopolityczne.

By utrzymać tę przewagę, musiał poświęcać swój czas i środki, i mieć w swojej drużynie najmocniejszych graczy. Takich jak jego osobista asystentka, której zdecydował się już nie prowokować. Podszedł jedynie do swojego biurka. Wziął list rezygnacyjny i przedarł go na pół.

– Możesz to wziąć ze sobą – powiedział.

Podeszła do niego, kołysząc biodrami. Ten widok przypomniał mu o jego przedłużającym się celibacie. Nie miał kobiety od czasu Maroka. Od dnia, w którym padł w kuszące objęcia Saffie. Wtedy, nad ranem dowiedział się, że jego ojciec zamierzał wykupić Archer Group.

Saffie wzięła kartki z podziwu godnym opanowaniem.

– Jeśli to już wszystko, to biorę się do pracy.

– Jak najbardziej – zamruczał pod nosem João, obserwując, jak wychodzi z gabinetu. Czuł się kompletnie skołowany.

Jego dotychczasowe doświadczenia z rodziną związane były ze skrajnym ubóstwem, wśród którego się wychował. Widział, jak daleko

potrafią posunąć się ludzie, by tylko wyczołgać się z rynsztoku, by napełnić swoje żołądki. Dzwonek telefonu przerwał te gorzkie myśli.

– João Oliviera – powiedział do srebrnej słuchawki.

Zwalczył swoje słabości i znów był tym samym potężnym i władczym mężczyzną. Mógł się zmierzyć z kolejnym wyzwaniem. Mógł i chciał, lecz nie potrafił. Ostatnia godzina wytrąciła go z równowagi.

Gdy Saffie weszła kilka godzin później do jego biura, była chodzącym przykładem profesjonalizmu i kompetencji. Przynosiła informacje na temat Lavinii Archer, które pomogły dopiąć na ostatni guzik sprytny plan podbicia serca leciwej potentatki.

Plan wymagał, by Lavinia zdecydowała się pojawić na aukcji w Szanghaju. Saffron znalazła sposób, by do tego doprowadzić. Wysłała jej elegancką, wytłaczaną złotem kopertę z nazwą domu aukcyjnego w Szanghaju. To do tego stopnia zaintrygowało zblazowaną Lavinię, że postanowiła wybrać się na ową aukcję. Saffie dostała właśnie potwierdzenie tego faktu od prywatnych śledczych, których specjalnie zatrudniała.

Była to doskonała wiadomość, lecz João nie mógł w pełni się nią napawać. Wizja odejścia Saffie była dla niego nie do zniesienia. Rozgorzał w nim płomień, który zażądał złamania jej postanowienia.

Od ich wspólnej nocy w Maroku pewne uczucie zabłysło gdzieś w jego wnętrzu. Uczucie, które mógł porównać z kamieniami milowymi swojego życia i kariery. Zapewniał się, że skoro sprawa wykupienia Lavinii Archer pochłaniała cały jego umysł w dzień i w nocy, to wszystkie rzeczy z nią związane również musiały się tam znajdować.

Lavinia.

Pueblo.

Saffie.

Odszedł od okna. Musiał przeczytać ostatnie akta dostarczone mu na temat Puebla, lecz podszedł do drzwi. Nacisnął klamkę i stanął przed Saffie.

– Myślałem.

– O czym?

– O twojej przemowie.

– Jakiej przemowie? – Stężała.

– O tym, że jestem wampirem, który umie tylko brać.

Saffron zarumieniła się. João opanował chęć muśnięcia tych policzków palcami.

– Ja nie… Ja… Powinnam być może inaczej się wyrazić.

– Tylko „być może”?

Zacisnęła usta.

– Myślałeś o moim przemówieniu i…?

– Nie chcesz ani podwyżki, ani innych bodźców materialnych. Postanowiłem więc podwoić moje datki na dobroczynność. Po południu zjemy obiad, przynieś na niego swoją listę.

– Moją listę?

Wzruszył ramionami.

– To był twój zarzut, Saffie. Pomożesz mi stać się lepszym człowiekiem – powiedział i wrócił do swojego biura już w lepszym nastroju.

Utrzymał go przez kolejne godziny dnia, aż do momentu, kiedy jego osobista asystentka zamarła przed drzwiami windy prowadzącej do jego apartamentu.

– Czy coś nie tak? – zapytał zdziwiony.

– Dlaczego obiad odbędzie się w twoim… w apartamencie?

– Zostawiłaś notkę w moim notatniku, że nasze wszystkie sale konferencyjne i obiadowe zostały przeznaczone na osobiste rozmowy z klientami. Zapomniałaś, Saffie?

Spąsowiała.

– Ach… tak. Zupełnie wypadło mi z głowy.

João przytrzymał zamykające się drzwi windy.

– Wejdź, Saffie. Obiecuję, że jedynym krwistoczerwonym napojem na górze jest wino.

– Nie zamierzasz mi tego odpuścić? – rzuciła mu zirytowane spojrzenie.

Weszła, a on poczuł ukłucie satysfakcji.

Wpatrywała się w niego swoimi niebieskimi oczami, ściemniałymi od niepewności i obawy. Wreszcie przeszła obok niego. Zwrócił uwagę, że na tych obcasach jej kształtne nogi wydawały się nie mieć końca. Prążkowana sukienka apetycznie poruszała się wraz z kołyszącymi się zaokrągleniami ciała.

Drzwi windy zamknęły się. Wpływali na nieznane wody, lecz João z niecierpliwością podejmował to wyzwanie.

Weszli do apartamentu. Saffie z ciekawością oglądała miejsce, w którym była zaledwie kilka razy – w celach zawodowych.

Zachodzące słońce rzucało miękkie, ciepłe światło na szeroką pluszową sofę w salonie. Pomarańczowy blask niebezpiecznie przypomniał Saffie pewien dywan w Maroku.

To wspomnienie zaatakowało również João. Zaciskając zęby, zaprowadził Saffron do jadalni. Odetchnął z ulgą, kiedy główny szef jego kuchni postawił przed nimi dania: kapustę baby bok choy z sałatką z makaronu i trufli dla Saffie oraz porcję steku z brazylijskiej wołowiny wagyu dla niego. Następnie otworzył chilijskie wino, pochodzące

z prywatnej winnicy João, i dał mu je do powąchania. Mężczyzna wziął butelkę i spojrzał na swoją asystentkę.

Saffie pokręciła głową.

– Dziękuję. Boli mnie głowa.

Uniósł zdziwiony brwi i skierował szyjkę butelki nad swój kieliszek.

– Wzięłaś coś na to?

Wzruszyła ramionami.

– Byłam zbyt zajęta.

João ujął kieliszek, ogrzewając jego zawartość dłonią.

– Zbyt zajęta, by zająć się swoim zdrowiem?

– Zazwyczaj samo przechodzi – odparła Saffie. Przez chwilę przesuwała kawałek bok choya po talerzu, aż wreszcie nabiła go na widelec.

– Zazwyczaj? – João uniósł kieliszek i upił z niego solidny łyk. Gorące i ciężkie uczucie zalęgło się w nim, kiedy Saffie spojrzała na jego usta, a następnie niżej, na szyję.

– Tak się interesujesz moimi nawykami zdrowotnościowymi, João?

– W tym tygodniu oskarżyłaś mnie o to, że zamierzam zaharować cię na śmierć. Staram się więc, by przynajmniej nie bolała cię głowa – odparł.

– I chcesz to osiągnąć, maglując mnie pytaniami?

– Wolę to od patrzenia, jak bawisz się jedzeniem, unikając mojego spojrzenia.

Wstał od stołu i wyciągnął coś z długiej, wąskiej szafki.

– Proszę – wręczył jej tabletki.

Odłożyła srebrne sztućce spokojnymi, precyzyjnymi ruchami i wytarła chusteczką usta. Następnie wzięła tabletki i połknęła je.

– Załatwione. Możemy już zmienić temat?

– Oczywiście. – João wyprostował się na krześle. – Przyniosłaś listę? Mam zamiar sprawić, że twoje zdanie na mój temat zmieni się na lepsze do końca tygodnia.

Nagłym rzutem upuściła serwetkę. Jej twarz płonęła. João pocierał palcem krawędź kieliszka, a nagła potrzeba dotknięcia jej twarzy rozpaliła się w nim na nowo.

– Jeśli chcesz, żebym poczuła się źle przez to, co powiedziałam, nie musisz się już tym martwić.

Upił kolejny łyk wina.

– A co, jeśli naprawdę tak uważam? Czy byłabyś skłonna do… ugięcia się?

Przełknęła ślinę.

– Jestem pewna, że… organizacje dobroczynne będą wdzięczne.

– Pytam ciebie.

Wzięła głęboki oddech, jej klatka piersiowa podniosła się wysoko, ściągając jego wzrok na pełne piersi dziewczyny.

– Myślę, że to byłby dobry początek.

– *Bom* – ucieszył się. – Zróbmy to.

Spojrzała na niego niepewnie. Tak, że sam zaczął wątpić w swoją motywację. Już teraz dał jej więcej niż jakiemukolwiek innemu asystentowi. Zastanawiał się, czy jest gotowy posunąć się tak daleko, byle ją tylko zatrzymać.

Przejrzał listę. Ponad połowa organizacji zbierała pieniądze na pomoc dzieciom i rodzinom.

– Akceptuję je – powiedział, oddając jej tablet. – Masz moją zgodę na przelanie każdej z tych organizacji po sto tysięcy funtów.

Zszokowana Saffie otworzyła z wrażenia usta.

– To… to za dużo.

– Jestem pewien, że te organizacje charytatywne nie będą podzielały twojego zdania. Podziękuj mi i możemy przejść dalej, Saffie.

– Dziękuję, João – wyszeptała chrapliwie.

– *De nada* – odparł. – Co następne w programie?

– Vincent Gingham zadzwoni do ciebie za trzydzieści minut. Może powinniśmy…

– Gingham może zaczekać. Nie jadłaś jeszcze deseru. Szef Buillard przygotował twój ulubiony.

Jak na zawołanie szef kuchni wniósł do jadalni srebrną tacę przykrytą kloszem. Położył ją na stole. João skinął głową.

– Co to jest? – spytała Saffie.

João nie odpowiedział. Przyglądał się uważnie, kiedy unosiła srebrny klosz i wciągnęła nagle ostro powietrze do płuc.

– João, co ty robisz?

Nie była to reakcja, jakiej się spodziewał.

– Jemy obiad – odpowiedział spokojnie.

Pokręciła głową.

– Proszę, nie. Naszyjnik, a teraz to…

– To po prostu deser. Nie róbmy z tego wielkiej sprawy.

– To czekoladowy mus z truflami, posypany płatkami dwudziestoczterokaratowego złota. Jadłam go tylko raz, kiedy zaprosiłeś mnie na obiad w Nowy Rok.

– Pomyślałem, że zechcesz uczcić twoje pozostanie w firmie czymś wyjątkowym. – João wzruszył ramionami. – Naszyjnik się nie liczy. Był przygotowany dla ciebie na wyjazd z Lavinią Archer, jeszcze zanim

poinformowałaś mnie o rezygnacji. Teraz jedz. Gingham staje się potwornie męczący, kiedy zbyt długo czeka.

Zaczął się przyglądać, jak Saffie delikatnym ruchem nabierała łyżeczką porcję deseru, mieniącego się ochrą i złotem, i wsunęła ją sobie do ust. Powstrzymała westchnienie, przeszedł ją jedynie dreszcz przyjemności.

João poczuł, że krew zaczyna spływać do jego lędźwi. Szybko opróżnił swój kieliszek i sięgnął po telefon. Mógł ją tam zostawić i wrócić do biura, ale nie chciał kusić losu. Już i tak zbyt wiele rzeczy rozjeżdżało się w tym tygodniu.

Pięć minut później Saffie skończyła swoją ucztę.

– Dziękuję, João. To było niesamowite.

Skinął głową, po czym energicznie wstał, odwracając się od niej szybko, by nie ujrzała, jak bardzo był podniecony tego wieczoru.

– Tu odbędziemy spotkanie – powiedział, kierując się do drzwi swojego gabinetu. – Chcę, żebyś była przy wideorozmowie z Ginghamen. Przy tobie jest mniej agresywny.

– Mam go trochę ustawić, kiedy zacznie się wychylać?

– Dokładnie.

– Pójdę po jego akta – powiedziała Saffie.

João podszedł do biurka i rozluźnił węzeł krawata. Następnie się go pozbył. Wiedział, że ten nieformalny styl może zirytować magnata prasowego, pochodzącego z głębokiego południa Stanów Zjednoczonych, lecz ze swoją pozycją mógł nie zwracać na to uwagi.

Przypomniał sobie, że nie zawsze tak było. Przed oczami stanęła mu matka przeklinająca go za to, że się w ogóle urodził, i uczucie głodu, jakiego nie życzyłby najgorszemu wrogowi. Gang usiłujący okraść go z tej nędznej ilości pożywienia, jakie udało mu się wyłudzić od turystów, i walka z jednym z tych zbirów, której o mało nie przypłacił życiem.

Obrócił dłoń. Blizna wciąż tam była. Przypominała mu o tej fatalnej nocy i o lekarzu, który uratował mu wówczas życie.

– João? Wszystko w porządku?

– *Sim*, wszystko gra.

Rozpiął kołnierzyk.

– Na pewno? Wyglądałeś, jakby…

Podniósł kciuk i przyłożył go do kącika ust przy jej górnej wardze. Słowa uwięzły Saffie w gardle. João wycofał się pospiesznie.

– Co ty robisz? – wychrypiała.

– Czekolada – odparł pospiesznie. Głos miał szorstki i trochę mu się łamał. – Miałaś kawałeczek czekolady w kąciku ust.

Wypuściła powietrze z płuc.

– Hm… dziękuję.

João zbliżył kciuk do swoich ust i oblizał go. Saffie wydała cichy, erotyczny dźwięk, którego brzmienie pchnęło João wprost w stronę zakazanych pragnień.

Meu Deus – pomyślał. – Muszę się ruszyć. Odejść.

Nie mógł. Nie chciał.

Saffie patrzyła na niego swoimi błękitnymi oczami. Jej usta zapraszająco przywoływały go do siebie.

– Gingham… – westchnęła.

– Mamy dziesięć minut. Więcej – wychrypiał João.

– Powinnam… powinniśmy…

Chwycił ją i przyciągnął do siebie. Pożądanie wypalało w nim gorącą, niebezpiecznie silną ścieżkę. Objął jej szczupłą talię i przycisnął do swojego ciała. Nie opierała się. Jego zmysły wzleciały w górę.

I teraz, po tak wielu tygodniach po tym pierwszym razie, João złączył swoje usta z ustami Saffie, by je poczuć. Posmakować ust, które według wszystkich zasad zdrowego rozsądku, powinny pozostać nietknięte.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ciało Saffie płonęło, przetapiając jej zdrowy rozsądek w cudownie zakazaną przyjemność. Zmysły toczyły w niej wojnę – każdy z każdym.

Dotyk jego palca na ustach nie powinien był obudzić pragnienia dotyku na pobudzonych piersiach.

João nie powinien był doprowadzać jej do ostateczności, całując.

Jego twarde, umięśnione ciało nie powinno wyrzucić z jej głowy każdej rozsądnej myśli tak łatwo. Z taką maestrią.

A ona…

Odpływała w jego objęciach. Usta bezwiednie poddała pocałunkowi, który budził w niej deliryczną satysfakcję.

Platoniczne trzy miesiące. Bez powtórki z Maroka. Bez utraty kontroli.

Teraz każdy jej skrawek płakał z radości, gdy poddała się Joãowi pod wpływem jednego, jedynego dotknięcia. Każde kolejne doprowadzało ją na skraj przepaści.

Przycisnął ją do przeszklonej ściany, rozdzielając swoim twardym udem jej nogi.

Jęknęła bezbronnie.

Całowali się jak szaleńcy. Gdy wreszcie rozdzielił ich brak tlenu, João wpatrywał się w jej oczy z bijącym błyskiem pożądania.

Pamiętała to z Marrakeszu. Wzrok, który wzbudzał w niej głód, jakiego nie znała. João chrapliwie zamruczał. Rękoma przebiegł po jej brzuchu,

docierając do piersi. Ujął je bezwstydnie, a jego pocałunek wzmógł się, pozbawiając Saffie resztki powietrza w płucach.

Odnalazł palcami sterczące sutki i pieścił je, aż przechodzące przez jej ciało dreszcze napięły je do granic możliwości.

– Dotykaj mnie, Saffie – wychrypiał podniecony.

Posłuchała go. Przebiegała dłońmi w dół, po jego szerokich ramionach, po klatce piersiowej, aż do umięśnionego brzucha.

Ledwie czuła, jak uniósł krawędź jej sukienki, odkrywając uda ozdobione pasem z podwiązkami. Żarliwie przebiegał palcami po jej satynowej bieliźnie. Znów ją pocałował, a jego dłoń powędrowała niżej, doprowadzając Saffie do totalnego szaleństwa. João z wprawą znawcy rozpoczął odkrywanie nowego lądu. Pod Saffie ugięły się kolana.

I nagle…

Dźwięk dzwonka wideokonferencji przeszył gwałtownie przestrzeń w gabinecie.

João zastygł i zmełł przekleństwo pod nosem, po czym ponownie pocałował Saffie.

Dźwięk się powtórzył.

Saffie mrugnęła, wyrywając się ze zmysłowej hipnozy pocałunku.

– João…

– Nie zwracaj na to uwagi – wychrypiał z nutką irytacji.

Lecz było już za późno. Rzeczywistość zaczęła powoli przenikać do jej świadomości, uzmysławiając jej, gdzie była… co robiła… i z kim…

– Nie… João, stój.

Zaklął po portugalsku, siarczyście i seksownie. Saffie zorientowała się, że był nieziemsko podniecony. Wyczuwała to wyraźnie na swoim brzuchu.

João odsunął się i odwrócił. Przeszedł kilka kroków, przeczesując dłońmi włosy.

Saffron zaczęła obsesyjnie poprawiać sukienkę. Nad pokojem zawisła głucha cisza.

Po jakiejś minucie João spojrzał na nią.

– Gotowa? – zapytał.

Znów był sobą. Skinęła. Usiadła obok swojego szefa na krześle i skierowała w ich kierunku ekran tabletu. Obraz ożył.

Po wszystkim, kiedy João sfinalizował kolejny udany interes, Saffie wymamrotał, patrząc w ziemię:

– Wrócę do biura. Mam jeszcze mnóstwo rzeczy do załatwienia przed jutrzejszym wylotem.

Przelotnie spojrzał na nią znad teczki z dokumentami.

– Dobrze. Będę na dole za dziesięć minut – powiedział beznamiętnie.

Wyszła z apartamentu. Przez dłuższą chwilę dochodziła do siebie. Oddech uspokajał się, nogi przestawały dygotać na tyle, że mogła wsiąść do windy.

Dobry Boże – pomyślała. – Ma władzę nad moim ciałem. Reaguję na każdy jego gest.

Przełknęła nerwowo, rumieniec oblał jej policzki. Ręką bezwiednie potarła dekolt. Zapadła w każdy jego dotyk, każdy pocałunek, jak wygłodniały pies. Podawała się na srebrnej tacy.

Wstrzymała oddech, kiedy uzmysłowiła sobie, że nie miała w tym żadnego interesu. Nie – od kiedy się zorientowała, jak wiele znaczy dla niego umowa z Archer. Jej odejście z firmy stanowiło dla niego problem głównie w tym aspekcie. Jako kochanka była dla niego jedną z wielu – gotową i dostępną. Zupełnie jak w Marrakeszu – pomyślała z goryczą.

Pomimo tego żar rozpalał się w niej wciąż na nowo, na wspomnienie tego, jak jej dotykał, jak całował… Chwytając się ostatniej deski ratunku, Saffie zaczęła porządkować sobie w głowie rzeczy, które musiała jeszcze tego dnia wykonać.

Po pewnym czasie João pojawił się w biurze. Wyczuła bezbłędnie jego obecność, jeszcze zanim go ujrzała.

– Nie mówiłaś, jak poszła wizyta u stylisty – usłyszała. Z wrażenia prawie podskoczyła na fotelu.

Wpatrywał się w nią swoimi oczami koloru ciemnej whisky. W rękach trzymał nieodzowne espresso. Ciemne spodnie i koszula w kolorze burgunda podkreślały fantastyczną muskulaturę jego ciała. Ciała, które jeszcze niedawno tak mocno czuła.

Jej tętno oszalało i nie mogła spokojnie myśleć. Wreszcie do świadomości Saffie przebiło się spostrzeżenie, że aż do tego dnia João nigdy nie okazywał zainteresowania jej wyglądem.

– Dobrze – odparła energicznie. – Bez przeszkód.

João potakująco kiwnął głową.

– *Bom.*

Przez chwilę stał w drzwiach.

Po chwili, równie cicho jak się zjawił, opuścił jej biuro. Saffie po raz pierwszy w życiu z niecierpliwością czekała na koniec dnia pracy. Z wybiciem dziewiątej chwyciła torebkę i wstała.

Wystawiła głowę za drzwi jego biura. Miał w ręce telefon. Zasygnalizowała, że wychodzi. Przerwał rozmowę, a ona pomachała mu na pożegnanie.

I uciekła.

Pod wpływem nagłego kaprysu nakazała kierowcy, którego João zatrudnił specjalnie dla niej, zawieźć się do swojego domu w Chiswick.

Mieszkanie kupiła, by zainwestować pieniądze z wypłaty, które tak hojnie spływały do niej od João. Kompulsywnie kupowała do niego kwiaty, licząc, że jej życie w jakiś cudowny sposób zwolni. Niestety nocowała tam tylko jeden lub dwa razy w tygodniu, a połowa z tych roślin przeżyła wyłącznie dlatego, że sąsiad zlitował się nad nią i podlewał je, kiedy tylko mógł.

Większość wolnego czasu spędzała w jednym z mieszkań służbowych. Tam trzymała swoje ubrania i tam lądowała nad ranem, po kolejnym szesnastogodzinnym dniu pracy, podczas którego dopinali z João kolejny ważny interes.

Przechadzała się po mieszkaniu, które powinno być jej bliskie, znajome. Lecz nie było. Emocjonalnie znajdowała się nadal w apartamencie João. Chciała być tam w tej chwili.

W ponurym nastroju wyciągnęła walizkę i zaczęła pakować do niej tych kilka niezbędnych rzeczy, które udało jej się przechowywać w tym mieszkaniu.

Od totalnej rozpaczy uratowała ją świadomość, że dzisiejszego dnia miała go już nie widzieć. Chciała się nacieszyć tymi kilkoma chwilami.

Od następnego dnia miał wrócić ład i porządek.

Tyle że nie wrócił.

João był w kiepskim nastroju, co najbardziej odbiło się na asystentach Saffie. Ich przełożona pozwoliła im wyjść wcześniej, wiedząc, że przez następnych kilka godzin będzie zajęty konferencjami i telefonami przed wylotem do Szanghaju. Gdy rozpoczął wideokonferencję, sama również postanowiła się ulotnić.

Musiała się wyrwać z tego uzależnienia. Tego głodu i pożądania, które nie chciało opuścić jej głowy.

Już wstawała od biurka, kiedy zabrzęczał dzwonek interkomu. Drżącymi rękami nacisnęła guzik.

– Tak?

– Saffie, przyjdź, proszę, do mojego biura.

Gorączkowo usiłowała zgadnąć, czego mógł chcieć. Jego potrzeby bywały niespodziewane.

Podeszła do drzwi i wytarła wilgotne dłonie o pończochy z wełny merynosa. Wiedziała, że nie może dać mu na siebie czekać. Pracowała dla tego mężczyzny.

Nacisnęła klamkę i przestąpiła przez próg. Nie zwiodła jej pozornie zrelaksowana poza, jaką João prezentował w fotelu. Jego płonący wzrok nie opuszczał jej ani na sekundę, kiedy szła po pluszowym dywanie.

– Czego potrzebujesz? – zapytała głosem, który nie brzmiał jak jej własny.

Przez chwilę tylko na nią patrzył, następnie rzucił okiem na zegarek.

– Zespół Silvertona nie był przygotowany do sprawozdania. Poleciłem im wszystko uporządkować i zgłosić się do mnie za pół godziny na wideokonferencję.

Saffie uniosła brwi.

– Rozmawiałam z nimi rano. Sprawdziliśmy wszystko, punkt po punkcie, i było okej.

Zawsze wszystko sprawdzała po trzy razy, zanim dopuszczała kogoś do spotkania z João. Dla dobra wszystkich, włącznie z nią samą.

Odsunął krzesło i wstał.

– Nie byli gotowi tak, jak bym tego oczekiwał. Mamy piętnaście minut. Poprawka, mieliśmy piętnaście minut, zanim nie zaczęłaś marnować czasu. Teraz mamy już tylko dziesięć.

Mówiąc to, obchodził biurko.

Podekscytowanie, jakie uderzyło w Saffie, wprost pozbawiło ją tchu. Serce zaczęło jej mocno bić, a podejrzenie, o co może chodzić… oczekiwanie, było wręcz wariackie.

– Dziesięć minut? Na co?

Uniósł jedną brew.

– By porozmawiać o tym, co wydarzyło się wczoraj. Zwłaszcza o tym, czy będzie to miało skutek taki jak w poniedziałek – wyłożył João.

– Dlaczego miałoby? – spytała z pozornym spokojem.

– Nie wiem. Ty mi powiedz. Chciałem porozmawiać o tym z tobą już wczoraj, ale byłaś… niedostępna.

Nie mogła ukryć wypływających na policzki rumieńców.

– Pojechałam do domu, do mojego mieszkania – uściśliła. – A rozmawiać o tym… nie ma potrzeby.

– Jesteś pewna? – Oczy João zwęziły się. Oparł się o krawędź biurka. Saffie poczuła, że na widok jego wyprężonych ud w dopasowanych spodniach zaczyna wariować.

Odchrząknęła, odrywając wzrok od hipnotyzującego widoku.

– Czy coś jeszcze? Za trzy minuty mam spotkanie.

– Jakie spotkanie?

– Asystentów wykonawczych. Zbiegło się z twoim telefonem.

– Odwołaj je – wychrypiał.

Pokręciła głową.

– Odwoływałam już trzykrotnie. Jako przełożona asystentów nie mogę już więcej.

João przez chwilę milczał. Wreszcie wrócił do swojego biurka.

Saffie zaczęła iść w stronę drzwi. W połowie drogi zatrzymała się.

– João?

– Hm? – Spojrzał na nią zmrużonymi oczami.

– Zespół Silvertona naprawdę nie był przygotowany?

Przez jego twarz przebiegł błysk rozczarowania.

– Zbyt długo próbowali włączyć projektor. Straciłem cierpliwość.

– Zbyt długo, czyli dziesięć sekund? Może mniej?

Potargał palcami rozczochrane włosy. Ten gest był tak seksowny, że Saffie musiała spojrzeć w inną stronę, by nie zrobić z siebie idiotki.

– Być może – przyznał wreszcie. – Jeszcze z jednego powodu cię tu poprosiłem. Chciałem cię wprowadzić do Silvertona. On coś ukrywa, nie wiem do końca co. Ale skoro musisz się zająć swoim spotkaniem…

Saffie powoli wróciła. Podniosła srebrną słuchawkę João i wybrała numer.

– Halo, pan Oliviera? – zabrzmiało w słuchawce.

– Nie, Justin, tu Saffie. Coś mi wypadło i nie będę na spotkaniu. Nie, nie odwołuj. Zastąpisz mnie. Wyślij mi później dane. Dziękuję.

Odłożyła słuchawkę.

– Załatwione – powiedziała, patrząc mu w oczy.

– *Obrigado*. – Jego spojrzenie było twarde i gorzkie.

– Na co konkretnie mam zwrócić uwagę?

– Nie jestem pewien. Ale dojdę do tego. – Saffie nie była pewna, czy dalej mówi o Silvertonie.

Po raz kolejny doznała odczucia, że jest coś więcej, o czym nie wie. Chciała to poznać i zrozumieć.

Czasem widywała, jak wpatrywał się w swoją bliznę na dłoni. Potem zawsze zaciskał tę dłoń w pięść, jakby chciał zatrzymać w niej jakieś cenne wspomnienie.

Podniosła oczy i natrafiła na jego zagadkowe spojrzenie.

– Tak?

– Myślę, że ekipa Silvertona jest już na nas przygotowana – powiedział z twardym rozbawieniem.

Jej wzrok padł na dzwoniący telefon. Zaczerwieniona ze wstydu, odebrała połączenie.

– Oliviera Enterprise. Oczywiście, panie Silverton. Przekażę, że jest pan gotowy.

Włączyła ekran do wideokonferencji.

– Jest pan już lepiej przygotowany, jak sądzę? – rzucił João.

Rick Silverton gorączkowo kiwał głową.

– Tak jest, proszę pana. Przepraszam za wcześniejsze problemy.

João machnął ponaglająco.

– Do rzeczy. Poproszę o sprawozdanie, następnie prezentacja.

Saffie nie była pewna, dlaczego akurat wtedy podniosła na niego wzrok, ale zobaczyła, że nie spuszczał z niej oczu.

Cztery godziny później byli na pokładzie samolotu startującego z prywatnego lotniska w Londynie. Specjalnie przystosowany Airbus A320 posiadał cztery sypialnie, które kipiały luksusem. Były wprost stworzone do tego, by porządnie wypocząć.

Lecz João miał dla niej inne plany. Pięć minut po starcie rozpoczęły się konferencje z przedstawicielami Oliviera Enterprise z Nowego Jorku i Indii. Trwały trzy godziny.

– Pani Archer wylądowała w Szanghaju dwie godziny temu. Wiem z dobrego źródła, że jest zachwycona apartamentem i prezentem, który jej przygotowaliśmy – relacjonowała Saffie.

– Ty przygotowałaś – powiedział lakonicznie João, błądząc spojrzeniem po jej ciele.

– Dwie godziny po lądowaniu umówiłam kolację w jej ulubionej restauracji. Szef Bouillard przejął już tam dowodzenie. Poznał jej ulubione dania, lecz zasugerowałam mu, by podał też kilka swoich specjalności. Nie zaimponujemy jej tym, co już zna.

– Czytasz w moich myślach.

– Do prywatnej aukcji dołączyło dwóch licytujących. Dom aukcyjny nie dał się przekonać do pozostania przy dziewięciu – kontynuowała.

– Czyżbyś straciła pazur?

– Raczej rozniosła się pogłoska, że jesteś zainteresowany.

Uśmiechnął się trochę zbyt arogancko. Saffie poczuła podniecenie.

– To nie ma znaczenia. Zamierzam wygrać bez względu na koszty – prychnął.

Wiedziała, że był od tego uzależniony, i aż zadrżała. Skupiła się na kolejnym punkcie.

– Jest następny raport o Pueblu Olivierze.

Przez jego sylwetkę przebiegło napięcie. Patrzył cynicznie, twardo, z nutą mściwej zaciekłości. Nigdy nie pytała go o Puebla.

– On jest twoim ojcem? – zaryzykowała.

– Raczej dawcą. Mam też wątpliwy zaszczyt nosić jego nazwisko – odparł nieprzyjemnie.

Wiedziała, że Pueblo był bogaty i wpływowy. Nie tak jak João, lecz na tyle, że ich ścieżki biznesowe czasem się krzyżowały. Była to brutalna, bezlitosna rywalizacja.

– Rozmawiacie ze sobą?

João zaśmiał się gorzko.

– *Sim*, przez zestawienia zysków i strat. Dokładnie: moich zysków i jego strat.

– Dlaczego?

Spojrzał ostro, aż wstrzymała oddech. Bała się, że przekroczyła granicę. Już zamierzała go przeprosić, kiedy wyprostował się nagle i podszedł do barku. Wyciągnął z niego butelkę koniaku Hardy L'Ete Lalique i nalał sobie kieliszek. Do drugiego naczynia wlał wodę mineralną i podsunął Saffie. Wypił swoją porcję jednym haustem.

– Moje narodziny były pomyłką, więc moim celem stało się być zawsze w zasięgu jego wzroku.

Wstrzymała oddech.

– Powiedział ci to? Że byłeś błędem?

– W pewnych sytuacjach nie są potrzebne słowa. – Zmrużył oczy João. – To nic złego przyznać, że nie jest się gotowym na ojcostwo. Znam to z autopsji. Gorzej, że on tego nie przyznał.

– Nie chcesz mieć dzieci?

Nie odpowiadał przez dłuższą chwilę.

– Tu nie chodzi o mnie – wyjaśnił wreszcie. – Pueblo mógł odejść, ale postanowił zrobić ze mnie swojego wroga. Walka z nim jest radością.

– Nie wyglądasz specjalnie radośnie – powiedziała Saffie.

– Nie tym razem. On wbił sobie do głowy, że może sprzątnąć mi sprzed nosa Archer.

– Dlatego jesteś tak zdeterminowany? Bo on jest twoim głównym przeciwnikiem?

– Nie zapominaj, że przede wszystkim jestem biznesmenem. To wyśmienita okazja.

Saffie była pewna, że nie chodziło tylko o to. João postanowił pogrążyć ojca raz na zawsze, to było dla niej jasne.

– Zmieniłaś o mnie zdanie, Saffie?

– Co?

– Gdybyś mogła odpłacić się swojej matce za porzucenie cię, nie skorzystałabyś z tej okazji?

Oddech uwiązł w jej płucach.

– Wiesz, że dorastałam w sierocińcu?

– *Sim*. Ty już wiesz co nieco o moim życiu. Powinienem wiedzieć też coś o twoim.

Minutę zajęło jej uspokojenie się.

– Byłabym ciekawa, to oczywiste – wydusiła w końcu. – Ale chciałabym najpierw usłyszeć jej wersję. Nie wiem, co bym zrobiła przed tym.

– Na pewno wyobraziłaś sobie jakiś scenariusz – naciskał João.

Saffie pomyślała, że on z pewnością to zrobił. Efekt? Rozczarowanie i gorycz.

– Przechodziłam przez wszystkie możliwe emocje, lecz nie mam pojęcia, dlaczego zrobiła to, co zrobiła. Nauczyłam się z tym żyć. Dziękuję losowi za czas spędzony z moją zastępczą matką. Chcesz usłyszeć raport? – skierowała rozmowę na inny tor.

– Posłuchajmy. – Wzruszył ramionami.

Kliknęła ikonkę dokumentu.

– Będzie renegocjował umowy w Katarze w przyszłym miesiącu, złożył ofertę kupna sześciu winnic w RPA, włoska firma transportowa zaproponowała mu fuzję…

– Zdobądź namiary na jego kontrahentów z Kataru. Resztę może zatrzymać. Co jeszcze?

Pozostała ostatnia pozycja. Saffie przełknęła nerwowo.

– Lavinia Archer ma z nim umówione spotkanie w San Francisco, w przyszły poniedziałek.

Uśmiechnął się spokojnie.

– To spotkanie się nie odbędzie.

– Skąd ta pewność?

João przeszedł się wokoło stołu pewny siebie.

I tak cholernie seksowny – pomyślała Saffie.

– Ponieważ my zabierzemy Lavinię do Brazylii.

– Ale… Brazylia nie była w planach.

– Teraz już jest – odparł, wyciągając z jej dłoni tablet i kładąc go na stole.

Gładkim ruchem odsunął obrotowy fotel, na którym siedział. Patrzyła teraz prosto w jego stronę.

– Ja… – zaczęła. – Dobrze. Czy mam…

– Już chyba wystarczająco cię wymęczyłem jak na jeden dzień.

Silne palce zacisnęły się na skórzanym podłokietniku. Saffie niemal czuła jego dotyk. Jej wnętrze oblał żar, koncentrując się głównie między udami.

– W takim razie chyba powinniśmy iść do łóżka – wymamrotała.

Spojrzał na nią, opuszczając lekko powieki. Jego dłoń zsunęła się niżej po fotelu, tuż przy jej ramieniu.

– Przynajmniej… ja powinnam – wyjaśniła zakłopotana.

– Ach, *sim*. – Błysnął zębami João. – Odzywa się znów twoje kruche człowieczeństwo. My nieśmiertelni nie zwracamy na takie rzeczy uwagi.

Głos miał seksowny i głęboki. Saffie odchyliła się w swoim fotelu, po czym poderwała na równe nogi. Odsunęła się o krok od João i przełknęła ślinę.

– Nigdy nie odpuszczasz, prawda?

– Najwyraźniej nie – przyznał.

– Jeżeli oczekujesz z mojej strony przeprosin…

Uśmiechnął się. Ten widok rzadko gościł na jego twarzy.

– Mam stracić szansę, że w najbliższej przyszłości sama wpadniesz na ten pomysł? Dlaczego miałbym to zrobić?

Potrząsnęła głową.

– Powinieneś iść do łóżka. Musimy dostosować nasze ciała do czasu szanghajskiego.

João zmrużył oczy.

– Jesteś bardzo niespokojna – stwierdził. – Dlaczego?

– Bo jestem wykończona?

Podszedł bliżej. Oparł ręce na jej biodrach. Przestała oddychać.

– Praca, którą ci zlecam, napędza cię. To coś innego.

Przebiegły ją dreszcze.

– To po prostu wyczerpanie. Nic więcej. A teraz, jeśli możesz...

– Mogę. Ale nie planujesz jakiegoś kolejnego numeru? Wiedz, że moja cierpliwość ma swoje granice.

Prawie parsknęła.

– Nie musisz mówić – powiedziała do siebie półgłosem, opuszczając głowę.

Usłyszał to i uniósł jej podbródek. Ich spojrzenia się połączyły.

– Za późno na żal, Saffie. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę i mnie nie zawiedziesz.

Tego jednego była pewna.

– Nie zawiodę.

Napięcie uleciało z jego twarzy. Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy nie czuł tego samego co ona. Odrzuciła tę niedorzeczną myśl.

– *Bom*, myślimy tak samo.

– Skoro to już ustaliliśmy, idę do łóżka – zakończyła Saffie. – Jeśli będziesz mnie potrzebował, daj mi znać.

Jego oczy wędrowały po jej twarzy, skupiając się wreszcie na ustach. Poczuła na nich mrowienie. Gdy zaczęło przenosić się coraz niżej, uznała, że pora już iść.

– Nie jestem aż takim tyranem. Jakoś wytrzymam bez ciebie przez te kilka godzin.

– W porządku. Nastawię budzik.

Pokiwał głową. Była wolna.

Na miękkich nogach skierowała się w stronę drzwi.

– Saffie?

Zamarła.

– Tak?

– Miłych snów.

Na suknię wyszywaną czerwonymi cekinami, którą miała założyć, namówiła ją stylistka João. Była pozbawiona rękawów i opinała dokładnie jej ciało, aż do miejsca w okolicach kolan, w którym rozszerzała się w powłóczysty welon. To była naprawdę wytworna kreacja.

Jedynym jej mankamentem był kolor. Saffie nigdy nie nosiła czegoś równie czerwonego, równie śmiałego.

Teraz, kiedy w jej głowie kotłowały się różne myśli, suknia stanowiła dodatkowy problem.

Przyjrzała się sobie krytycznie i odetchnęła z uczuciem ulgi. Udało jej się zamaskować cienie pod oczami, z którymi obudziła się przed

lądowaniem w Szanghaju. Potrzebowała tego, by podkreślić swoją pewność siebie. João promieniował swobodną wytwornością i oczekiwał, że jego otoczenie także będzie podążało tą drogą. Nieważne, ile miało to kosztować ani jak wiele czasu zająć.

Tego wieczoru pierwsze wrażenie miało zdobyć dla João Lavinię Archer. Wszystko musiało być dopięte na ostatni guzik.

Saffie nie spała dobrze tej nocy. Czuła się wykończona emocjonalnie. Zrzucała to na karb zmęczenia wynikającego z różnicy czasu. Wmawiała to sobie, kiedy mocne stuknięcie lądującego samolotu przeszyło ciszę w jej kabinie.

Na szczęście, gdy szła po rozległym holu apartamentu Sky Suite, znajdującego się w najbardziej ekskluzywnej części siedmiogwiazdkowego Shanghai Reign Hotel, miała trochę czasu, by wziąć się w garść. Kilka głębokich oddechów i poczuła się trochę lepiej.

Wszystko to okazało się bezużyteczne, kiedy po otworzeniu podwójnych drzwi ukazała się postać João.

Widywała go w smokingu niezliczoną ilość razy, lecz teraz jego nadzwyczajna elegancja odebrała jej resztki powietrza. Wewnętrzny głos podpowiadał, że mające nastąpić chwile rozbuchają jej zmysły do niemożliwości.

Włosy João błyszczały w lekkim świetle. Po mocnych kościach policzkowych wędrował cień, kiedy szedł do niej, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów.

Wstrzymała oddech, niepewna, czy chciałaby, by skomentował jej przybycie, czy zachował to dla siebie. Ujrzała, że jego ciało zesztywniało, a szczęka zacisnęła się mocno.

– Czy coś nie tak? – zapytała drżącym głosem.

Nie odpowiedział. Jego oczy powoli odbywały drogę powrotną wzdłuż jej ciała. Wreszcie błyszczący wzrok spoczął na twarzy.

– *Voce parece sublime* – wychrypiał, jakby te słowa go denerwowały.

– Złapałam tylko ostatni wyraz – powiedziała. Pomyślała, że o ile się nie pomyliła, był to komplement, chociaż dość lakoniczny.

– Powinnaś się zatem nauczyć portugalskiego, Saffie. Prawdę mówiąc, dziwię się, że ze swoimi zdolnościami jeszcze tego nie zrobiłaś.

Jaki byłby sens? – pomyślała. – Za kilka krótkich miesięcy odchodzę.

– Mówisz doskonale po angielsku – powiedziała głośno. – Przetłumaczysz to, co powiedziałeś?

– To może być temat twojej pierwszej lekcji.

Napięcie opuściło jego sylwetkę. Powróciła siła i niemal zwierzęca męskość, od których oddech Saffie zamierał, a strzały pożądania trafiały bezbłędnie w jej spragnioną płeć.

– Czy chcesz czegoś, João? – zmieniła temat, jednak jego imię wypowiedziała z dziwnie gardłową emfazą.

Jego spojrzenie spadło na szyję Saffron.

– Chyba potrzebujesz mojej pomocy z naszyjnikiem.

– Ach. Myślałam, że zachowam go na następną okazję.

– Czy nie dobierałaś sukni z myślą o nim? – nie odpuszczał João. Spostrzegł jej lekki grymas. – W czym problem?

– Ciągle uważam, że jest zbyt cenny.

– Nie interesuje mnie, co myślą ludzie, Saffie. Zresztą, możesz go nosić lub nie. To twoja decyzja – przyznał, po czym spojrzał na zegarek. – Tak czy inaczej, chyba wykorzystaliśmy już limit na stylowe spóźnienie.

Najwyraźniej pozostawił jej decyzję. Musiała przyznać przed sobą, że suknia była idealnym tłem dla naszyjnika, którego wygląd zapierał dech

w piersiach.

Saffie wolnym krokiem przemierzyła luksusową salę. Podeszła do sejfu, który ukryty był za obrazem słynnego francuskiego impresjonisty. João podążył za nią.

Wyciągnęła naszyjnik i mu go podała.

– Odwróć się – polecił z lekką szorstkością.

Wzięła głęboki wdech i spełniła jego żądanie. Podszedł do niej bliżej. Poczuła wyraźnie świeżą i obezwładniającą siłę jego obecności.

Zamknęła oczy, kiedy ciężka i bezcenna kompozycja złota, diamentów i rubinów zawisła na jej szyi. Nawet nie potrzebowała lustra. Wiedziała, że będzie to wyglądało oszałamiająco.

João z uznaniem pokiwał głową. Złapał Saffie za ramiona i obrócił twarzą w swoją stronę.

– *Perfeita* – zamruczał pod nosem.

Ten komplement długo odbijał się echem w jej głowie.

W towarzystwie ochroniarzy, którzy mieli eskortować ich rolls-royce’a Phantoma w dwóch czarnych SUV-ach, ruszyli w stronę Domu Aukcyjnego „Dom Pereł”. Dotarli tam w niecałe dwadzieścia minut.

Lavinia Archer od razu ich zauważyła. Ubrana w olśniewającą suknię w odcieniu gołębiej szarości, ozdobionej naszyjnikiem ze swobodną kompozycją diamentów i pereł, uśmiechnęła się na widok João.

– Jesteś niegodziwcem, Oliviera. Wiedziałeś, że nie oprę się tej zagadkowej wiadomości.

Ujął jej dłoń i złożył na niej czarujący pocałunek, po czym uśmiechnął się.

– Proszę, mów do mnie João. Zasługa leży po stronie mojej osobistej asystentki. Pamiętasz Saffron?

– Oczywiście. – Lavinia odwróciła się do Saffie i westchnęła z wrażenia. – Wszyscy święci! Cóż za bajeczny naszyjnik. Wygląda na tobie bosko. Cokolwiek zrobiłaś, by go otrzymać, moja droga, rób to dalej.

Saffie zesztywniała. Uwaga Lavinii była bardziej przyjaznym spostrzeżeniem niż złośliwą aluzją, lecz i tak zmroziła krew w jej żyłach.

W jej umyśle zaczęła pączkować histeria.

– Co się stało? – zapytał stojący za nią João.

– Nic.

João przymrużył oczy.

– Zawsze byłaś wobec mnie szczera, Saffie.

Nie mogła mu powiedzieć, że poczuła się obnażona. Musiała zachować dla siebie myśl, że przez ich wspólnie spędzoną noc, jej uczucia wywróciły się do góry nogami. Uciekła wzrokiem. Na szczęście poprowadzono ich do sali aukcyjnej, gdzie spotkała przyjazną, znajomą twarz.

Był to William Ashby III. Nieraz próbował zwerbować Saffie do współpracy. W poniedziałek napisała mu mejl, w którym podziękowała za ofertę. Odpisał na niego sympatycznie i z wdziękiem.

William Ashby różnił się od João jak dzień różni się od nocy. Był chudy, wysoki, bardzo miły i wyznawał zasadę: „pracuj mniej, baw się więcej”. Jako arystokrata dysponował majątkiem w wysokości kilku miliardów funtów i jego firma stale przynosiła zyski.

– Tak myślałem, że to ty – przywitał ją szerokim, chłopięcym uśmiechem.

– Witaj, Will.

Jego uśmiech jeszcze się rozszerzył.

– Niemal cię nie poznałem w tym oszałamiającym świetle.

Podświadomie ręka Saffie powędrowała do naszyjnika. Już miała powiedzieć coś przepraszającego, ale wyprostowała się. Coś w jej wyglądzie spowodowało, że Will uniósł z zaskoczenia jedną brew.

– W pełni popieram ten ostry image, Saffie. Na tyle, że zapominając o zdrowym rozsądku, proponuję ci dwa razy tyle, ile płaci ci Oliviera, jeśli kiedyś zmienisz zdanie i zechcesz pracować dla mnie.

Saffron uśmiechnęła się. Po raz pierwszy od dłuższego czasu.

– Tylko dwa? Muszę cię poinformować, że dostałam już w tym tygodniu propozycję trzy razy większą. I odmówiłam.

– O rany! – William chwycił się za pierś, po czym zaśmiał się, ściągając na nich uwagę otoczenia.

W tym João, który chłodnym wzrokiem dezaprobaty patrzył na nich. Jego spojrzenie stwardniało i pojawił się w nim wojowniczy błysk.

– Oho. Chyba trafiłem na celownik twojego szefa. Powinienem się bać? – zapytał rozbawiony.

– Być może – droczyła się Saffie. – Wie, że zaproponowałeś mi pracę.

Odciągnęła wzrok od João.

Will patrzył w jej oczy z figlarnym błyskiem.

– Mój Boże. Rzuciłaś mnie lwu na pożarcie bez słowa ostrzeżenia?

Saffron ugryzła się w język. Nie musiał znać okoliczności, w jakich wypłynęło jego nazwisko.

João zbliżał się jak pantera krocząca wśród drzew.

– Ashby – przywitał Willa z lodowatą oschłością.

– Oliviera, znów nakrywasz mnie na nagabywaniu twojej asystentki – odpowiedział Anglik nawet bez cienia wstydu.

– Rozumiem. Nadeszła pora na fakty. – João mierzył wzrokiem mężczyznę, którego uśmiech stracił wyrazistość. – Saffie, czy to naprawdę

będzie konieczne?

Saffie zaschło w gardle. Zdała sobie bowiem sprawę, że nie chodziło już tylko o interesy.

– To nie będzie potrzebne – odparła. – Will wie, w jakim miejscu się znajduje.

Przenikliwy wzrok arystokraty bystro przeskakiwał od João do Saffie. Wreszcie uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Rzeczywiście, wiem. Życzę miłej reszty wieczoru.

Odszedł niezwykle zamaszystym jak na siebie krokiem, zostawiając ją z ponuro zamyślonym João.

– Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że utwierdzałaś go w jego mrzonkach.

Był niezadowolony, było to dla niej jasne. W normalnych okolicznościach, próbowałaby załagodzić sytuację, zmieniając temat. Teraz nie chciała. Tak wiele razy rezygnowała z okazywania emocji, zadeptywania swojego bólu i żalu, że postanowiła zerwać z siebie tę maskę. Miała potrzebę wykrzyczenia wszystkiego głośno i sądziła, że to by ją niezmiernie uradowało. To byłby łabędzi śpiew przed wyskoczeniem z rozpędzonej kolejki górskiej, jaką zafundowałam swoim emocjom i sercu – pomyślała.

Zacisnęła mocno palce na kieliszku z szampanem.

– Nie utwierdzałam – zaprzeczyła. – Ale myślę, że musimy porozmawiać, kiedy… wrócimy do hotelu.

– Nie.

– Co? Nawet nie wiesz…

– Nie wiem? Wiłaś się tak od wczoraj.

– Nie wiłam się.

– Ostatnie kilka dni było dla nas oświeceniem, nieprawdaż?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– To pozwól, że ci wyjaśnię. Oświecające było ujrzenie pod chłodną fasadą kobiety.

Jej twarz płonęła. Męski uśmiech João jeszcze bardziej się rozszerzył.

– Już za późno, Saffie. Nie wsadzisz dżina z powrotem do butelki. Bez względu na konsekwencje, nie pozwolę ci na powrót do tej grzecznej pozy.

Już otwierała usta, by odpowiedzieć, lecz podszedł do nich jeden z organizatorów aukcji i poprosił, by zajęli zarezerwowane na przedzie sali miejsca. W pomieszczeniu ucichło. João i Saffie dołączyli do Lavinii Archer.

– Jak wszyscy wiemy, to nie jest zwyczajna aukcja – rozpoczął aukcjoner. – Okazja taka jak ta pojawia się bardzo rzadko. Dzisiejszego wieczoru jesteśmy zaszczyceni, że możemy zaprezentować państwu Orchideę Shanzi. Ten niezwykły cud natury rozkwitnie w ciągu najbliższych czternastu dni na jedyne sześć godzin.

– O mój Boże! – wyszeptała Lavinia. Odwróciła się do João. – Ty szczwany lisie. Wiedziałeś, że będę musiała ją mieć?

Asystenci przysunęli szklaną platformę, na której znajdowała się ręcznie malowana, wykonana z brązu donica. Sterczała z niej pojedyncza, ciemnozielona łodyga, zwieńczona trzema bujnymi główkami, rozszerzającymi się na końcach.

Saffie zapomniała o kłopotach na widok wyjątkowej, rzadkiej rośliny. Sprawdziła wcześniej, że ostatnia Orchidea Shanzi zakwitła piętnaście lat temu. Stała teraz w obecności jednego z najprawdziwszych cudów natury.

– Spełnię twoje życzenie. Masz moje słowo – zwrócił się João do Lavinii, lecz Saffron spostrzegła, że patrzył prosto na nią.

Czar prysł, gdy zajęli z powrotem swoje miejsca. Licytacja zaczęła się od poważnej kwoty dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. João natychmiast podwoił cenę. Wręczył Lavinii tabliczkę aukcyjną i zachęcał do jej unoszenia. Konkurenci odpadali, jeden po drugim. Wreszcie João kupił orchideę za szaloną kwotę trzech milionów siedmiuset tysięcy dolarów.

Lavinia aż zaklaskała z radości, gdy weszła na podwyższenie, by obejrzeć swoją wygraną.

– Jest przepiękna. – Odwróciła się do João i Saffie. – Odwołuję wszystkie moje spotkania i zostaję w Szanghaju aż do zakwitnięcia tego cudu. Musicie też być przy tym wydarzeniu. Nalegam.

João gładko przeszedł do ofensywy.

– Będziemy zaszczyceni, mogąc ci towarzyszyć – powiedział. – Ja z kolei nalegam, byśmy uczcili to wydarzenie kolacją.

– To mi się podoba.

Nawet tak wytrawna i twarda bizneswoman jak Lavinia Archer nie mogła się oprzeć urokowi João.

– *Sim*. Zostawiamy cię, byś mogła nacieszyć się prezentem.

Chwycił Saffron za ramię i opuścili dom aukcyjny. W limuzynie wygodnie się rozsiadł, lecz ona nie dała się zwieść pozorom. Skrywający się pod nimi niepokój spowodował, że Saffie poczuła się jeszcze bardziej zdenerwowana. By to ukryć, otworzyła tablet.

– Możemy zorganizować Lavinii atrakcję podczas jej pobytu w Szanghaju. Wymyśliłam coś, co upamiętni kwitnięcie…

– Nie chcę o niej rozmawiać. Czasem przychodzi chwila, by pozostawić już sprawy swojemu biegowi, nie uważasz?

Saffie się zdumiała. Nie znała go od tej strony. Dotąd zawsze dopinał każdy najmniejszy szczegół swoich transakcji.

– Dobrze. Więc o czym chcesz rozmawiać? – zaryzykowała pytanie, wiedząc, że odpowiedź może ją drogo kosztować.

Nachylił się i poczuła jego zapach. Ta ulotna nutka spowodowała w jej głowie zamęt. Na usta miała nałożoną szminkę w kolorze śmiałej czerwieni. Kiedy na nie spojrzał, poczuła, że jej twarz staje się tej samej barwy.

– Zbliża się czas twojej półrocznej oceny.

Otworzyła usta, lecz uciszył ją gestem.

– Bez względu na to, czy zamierzasz odejść, czy nie, jest to konieczne.

Była zaskoczona.

– Teraz chcesz to zrobić? Mamy piętnaście minut do hotelu.

– Jednym z twoich zadań była inwentaryzacja i wycena wartości wszystkich moich domów, *sim*?

– Oczywiście. Czyżbym coś pominęła?

João był posiadaczem dwudziestu siedmiu rezydencji, ulokowanych na całym świecie. Wszystkie były luksusowo wyposażone i posiadały służbę, która utrzymywała je w ciągłej gotowości na ewentualne przybycie właściciela.

– Według tego sprawozdania nie używałem mojej posiadłości na wybrzeżu Amalfi od przeszło dwóch lat. Poleciłem przepisać ją na ciebie.

Saffie zmroziło. Przez kilka sekund jej broda nerwowo drgała.

– Moja półroczna premia to willa warta dziewięć milionów euro? – pisnęła.

Spiorunował ją wzrokiem.

– Wystarczy zwykłe „dziękuję”. Możesz także podziękować za moją wielkoduszność w kontekście twojego zachowania w tym tygodniu.

– Z moim zachowaniem było wszystko w porządku – zaprotestowała. – Wiem, że nie dbasz o pozory, ale podziękowałabym ci, gdybyś zechciał nie ogłaszać wszem i wobec tego, co wydarzyło się w Maroku.

– Nie sądziłem, że robię coś takiego. – Jego wzrok nabrał nieprzyjemnego chłodu.

– Posiadłość z dwudziestoma sypialniami nie jest dyskretnym szeptem, João. Raczej krzyczy: „zapłata za świadczone usługi”.

João uderzył przycisk podnoszący osłonę kabiny. Na nieszczęście Saffie sytuacja stała się jeszcze bardziej intymna.

– Nie rób z tego wielkiego halo, Saffie. To nagroda za twoją ciężką pracę. Po prostu zapamiętaj to i bądź wdzięczna.

– To nie niewdzięczność, João. To… zbyt dużo. Jeśli ma to być odpowiedź na Willa, to nie jest potrzebna.

João drgnął. Pożałowała, że wspomniała o Ashbym. Było jasne, że go irytował.

– Tak czy inaczej, już się to stało. Moi prawnicy podpisują papiery. – zamknął temat.

– João…

Nagle wyciągnął ręce i oparł je na ramionach dziewczyny. Ten gest miał w sobie mrok i intymność, pod wpływem których poczerwieniała.

– Masz rację – powiedział. – To mnie dręczy. Myśl, że Ashby wciąż chce ukraść coś, co należy do mnie. On nie jest wart mojej uwagi, a ty nie pójdziesz do niego, bo nigdy nie da ci takiego pola do popisu, takiego wyzwania, jak ja. Jestem już zmęczony twoją nową, kłótliwą stroną, Saffie. Zrób mi przyjemność i skończ już z tym.

Poczuła się dotknięta i już otwierała usta, by zrobić coś zupełnie przeciwnego do jego żądania, kiedy nagle poczuła na nich wargi João. Tym

prostym gestem zniweczył jej protest, a wszystkie zbuntowane myśli zamienił w feerię wybuchających w jej głowie doznań i odczuć.

Usłyszała jego szorstkie mruknięcie i poczuła, że językiem rozdziela jej wargi. Poddała mu się w zapraszającym geście, po którym ogień w jej głowie wystrzelił jeszcze wyżej. Na nic zdały się ostrożność i siła woli. Gdy chodziło o niego, te pojęcia mogły być usunięte ze słownika. Ostatki świadomości kołatały w niej, mówiąc: „Musisz się od tego uwolnić… i to szybko!”.

Stan dzikiego i nieskrępowanego uzależnienia, w którym się znajdowała, niweczył wszystkie wartości, które próbowała dla siebie wywalczyć.

ROZDZIAŁ PIĄTY

João wpadł w wir, który pozbawiał go zmysłów. Nie odczuwał go od czasu życia w *faveli*, kiedy każda jego pochopna i irracjonalna decyzja wpędzała go w coraz to nowe kłopoty.

Lecz obecny „kłopot” był z tych najbardziej urokliwych i rozbrajających. Mógł również zaburzyć jego precyzyjny marsz, prowadzący wprost do zwycięstwa nad ojcem. João nie mógł przegrać tego „pojedynku”.

Drgnął. Palce Saffie wczepiły się w jego włosy, chwytając je w cichym żądaniu, z entuzjazmem, który rozpalał buzującą, latynoską krew. Jęknął z przyjemności.

Ten dźwięk zmroził ich oboje. Pieszczące usta przerwały swój namiętny taniec. Ciało João krzyczało o więcej.

Wbrew pragnieniom odsunął Saffie od siebie. Jej usta były zmysłowo zaczerwienione, żądne kolejnych wrażeń, i João poczuł przypływ wielkiego podniecenia. Jego męskość domagała się zaspokojenia tak mocno, jak dawno już tego nie odczuwał.

Pragnął ją posiąść. Ofiarować przyjemność i samemu jej zakosztować. Chciał usłyszeć szloch rozkoszy, dobiegający z tego ciała, które tak bardzo go rozpalało. Czuć jego dziki i rozgorączkowany popęd.

Na twarz dziewczyny spłynął rumieniec. João zapragnął z całej siły podążyć jego śladem swoimi ustami, swoim językiem…

Meu Deus – pomyślał ze zgrozą, usadzając Saffie w jej fotelu. – Jak mogłem o tym zapomnieć? Być zaślepionym żądzą, jak mój ojciec, kiedy mnie spłodził? Nie miał zamiaru wchodzić na tę samą ścieżkę. Ścieżkę bezrozumnego zaspokajania chuci, bez ponoszenia konsekwencji.

Przez resztę czasu wpatrywał się w okno, niewidzącym wzrokiem błądząc po łodziach i taksówkach wodnych, pływających po rzece Huangpu.

Kiedy kierowca zatrzymał się przed wejściem do hotelu, odetchnął z ulgą. Pomógł wysiąść Saffie z limuzyny, po czym szybkim krokiem udał się do windy. Wewnątrz nie odezwał się ani słowem. On, João Oliviera, który dzięki błyskotliwości języka potrafił się uratować z każdej niebezpiecznej sytuacji podczas życia w *faveli*. Teraz nie mógł wydusić z siebie słowa, przygnieciony ciężarem pożądania. Zaśmiał się ponuro, lecz rozbawienie uleciało. Hipnotycznie wpatrywał się w jej kształtne plecy i kołyszące się biodra, kiedy wychodziła z windy, przytrzymując ręką długą połę sukni.

Pelo Amor de Deus…

Odprawił kłaniającego się kamerdynera. Chciał odwrócić się do Saffie, ale ona przemówiła pierwsza.

– To się musi skończyć – ogłosiła. – Musimy znaleźć jakiś sposób, by normalnie funkcjonować, bez tego… czegoś między nami.

– Zgadzam się – zacisnął szczękę João.

– Tak?

Jej nagłe rozczarowanie powinno go ucieszyć, lecz wizja tak szybkiego zaprzeczenia swoim własnym słowom, osadziła go w miejscu. Walczył o to, by pozostała jego asystentką. Potrzebował jej, by raz na zawsze udowodnić Pueblowi, że jest lepszy od każdego Oliviery na świecie. Że jeżeli kiedykolwiek będzie miał dziecko, to…

Ta obca myśl, która przyszła nie wiadomo skąd, zmroziła mu umysł.

Dlaczego teraz? – zastanawiał się gorączkowo. – Czy to przez nią? Czyżby obudziła we mnie pytanie o własną śmiertelność? O spuściznę? *Impossivel.*

Dotąd każdą myśl o posiadaniu dziecka odrzucał ze świadomości gładko i bez zastanowienia.

– João? Wszystko w porządku?

– Nie chcę, by cokolwiek zagroziło sfinalizowaniu tego interesu – powiedział i jego twarz złagodniała. – Dzisiejszy wieczór mógł już przekonać Lavinię, lecz musimy to domknąć. Koniecznie w Brazylii.

Saffie wypuściła z dłoni tren sukni. W tym świetle jej oczy nabrały zielonkawej barwy.

– Bo tam będzie twój ojciec?

– Bo od razu się zorientuje, że podkręcam tempo, i sam postąpi tak samo.

– Chcesz wygrać za wszelką cenę?

Zadała to pytanie miękko. To, o dziwo, osłabiło jego pulsujący gniew. Oczywiście nie na tyle, by zapomniał, że wsadzała nos w nie swoje sprawy.

– To nie twój interes.

Uniosła dumnie brodę.

– Nie prosiłeś mnie o to, bym została i pomogła ci w dokończeniu tej… vendetty przeciwko niemu?

– Uważaj, Saffie.

Cień przebiegł przez jej oczy.

– To może nie być mój interes, ale chyba wiesz już, że o twoje bardzo dobrze dbam? Nie zdradzę pokładanego we mnie zaufania ani nie

wykorzystam twoich słów inaczej, jak do pomocy w osiągnięciu twoich celów – powiedziała.

– Nawet jeśli ich nie pochwalasz?

– A ma to dla ciebie znaczenie?

Ma – pomyślał João. Zmieszał się i zakłopotany włożył ręce do kieszeni. Wpatrywał się w nocny obraz Szanghaju – widok promenady Bund, za którą rozciągała się elegancka linia drapaczy chmur dzielnicy Pudong oraz fantastycznie iluminowany zarys Świątyni Boga Miasta. Była to prawdziwa uczta dla oczu.

Lecz on pożądał innej uczy. Takiej, która by się zaczynała i kończyła w boskim ciele Saffron. Ta myśl powoli zdobywała przewagę nad innymi w jego głowie. W odbiciu szyby spostrzegł, jak Saffie nerwowo gniecie kok na swojej głowie. Uświadomił sobie, że już wiele razy widział ten gest, lecz nigdy nie umiał go odczytać.

Czego jeszcze o niej nie wiem? – zastanowił się.

Pomyślał też, że z drugiej strony nie zaszkodziłoby wprowadzić ją nieco bardziej w motywy swojego działania. Dzięki temu mogła dużo efektywniej mu pomóc.

– Gdy miałem dziesięć lat, ojciec powiedział mi, że nie mam żadnej wartości.

Te słowa przeszły przez jego gardło z szorstką surowością.

– Dlaczego? – westchnęła Saffie.

– Głównie dlatego, że to on mnie spłodził. – Zaśmiał się gorzko João. – Lub dlatego, że moje pojawienie się nie było w planach podczas małej przygody z moją matką. Niestety, zrujnowałem jego idealne życie, a on postanowił nigdy nie dać mi zapomnieć, skąd pochodzę.

– Więc on i twoja matka mieli… romans?

Znowu się zaśmiał.

– Romans? To trochę zbyt wyszukana nazwa. Moja matka była prostytutką, Saffie. Poznali się na ruchliwym rogu ulic *faveli*, w której się urodziłem. Handlowała tam swoim ciałem, by mieć pieniądze na narkotyki. Była uzależniona.

Saffie poczuła, że wreszcie zaczyna rozumieć.

– A on nie chciał wiedzieć?

– Byłem namacalnym dowodem jego wciąż powracającej słabości. Beznadziejnym przypadkiem, skazanym na dwie możliwe drogi życia: być uzależnionym od narkotyków albo nimi handlować.

– Nie wybrałeś żadnej z tych dróg, jak widać.

Uśmiechnął się, lecz blizna na wewnętrznej stronie dłoni zapiekła bardziej niż zwykle. Wyciągnął ją z kieszeni i patrzył przez chwilę na cienką białą linię. Ta linia zmieniła jego życie na zawsze.

– Nie – odpowiedział. – Ale było blisko.

– Jak się przed tym obroniłeś? – Saffie przysunęła się bliżej. Poczuł jej pobudzający zapach.

Nie chciał obciążać jej brudami swojej przeszłości. Zwłaszcza sekretami, które ukrywał z taką żarliwością.

– Dzięki wielkoduszności zupełnie obcego mi człowieka. To wszystko, co musisz wiedzieć.

Dostrzegł w jej oczach ból i z miejsca się usztywnił.

– Ale twój ojciec… To, co powiedział…

– Postanowiłem mu udowodnić, że się mylił. – João wzruszył ramionami. – Nie przyjął zbyt dobrze tej nauczki, więc będę ją powtarzał, aż zaakceptuje…

– Ciebie? – weszła mu w słowo. – Tego chcesz, prawda? By cię zaakceptował.

Piekący ból przeszył mu brzuch. João nie mógł się go pozbyć.

– Pueblo Oliviera prędzej połknąłby księżyc. Mój cel jest inny. Chcę, by zaakceptował fakt, że przegra ze mną każde starcie. W taki sposób, by dla każdego z nas było jasne, kto jest zwycięzcą.

Jej oczy rozszerzyły się w osłupiałym zrozumieniu. Zauważył to i odrzucił ten gest. Nie potrzebował współczucia.

– Odwróć się. – Wskazał głową na naszyjnik. – Pomogę ci z nim. Chyba że zamierzasz w nim spać.

Jego wyobraźnia natychmiast wyświetliła obraz Saffie nago, przystrojonej wyłącznie naszyjnikiem, który oświetlał jej piękno.

Posłuchała go. João musiał użyć wszystkich znanych mu technik opanowania, by nie zacząć całować jej delikatnego karku i nie zatopić w nim nosa, wciągając jej zapach, napełniając się nim.

Zdjął naszyjnik i odsunął się o krok. Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Wyglądała, jakby miała ochotę wrócić do rozmowy.

Nagle oczy Saffie rozszerzyły się, ręką zasłoniła usta.

– Co się stało? – João uniósł brwi.

Opuściła dłoń i potrząsnęła przecząco głową.

– Nic takiego. Chyba coś mi zaszkodziło.

Odetchnęła głęboko – raz, drugi… Wyciągnął do niej rękę, lecz wykręciła się od jego bliskości. João zacisnął szczękę.

– Wezwać lekarza?

– Nie trzeba. To przejdzie. Na pewno. – Pożegnała się, po czym szybko wyszła, zostawiając go samego w apartamencie.

João starał się okiełznać swoje rozszalałe zmysły i rozbudzone libido. Lecz nawet dziesięć minut później stan, w którym się znajdował, w niczym nie przypominał spokoju.

Praca – pomyślał. To stanowiło dla niego zawsze doskonałe wyzwanie. Mógł przyjrzeć się interesom Ashby'ego i oduczyć go raz na zawsze wtrącania się w sprawy, które nie należały do niego.

Skrzywił się. Nawet to nie wzbudziło w nim zainteresowania. Jego myśli wciąż krążyły wokół Saffie, opuszczającej jego apartament. Na tych buzujących odczuciach spędził całą noc. Gdy świtało, stanął przed jej drzwiami, delikatnie pukając. Wszedł do środka i zobaczył ją śpiącą. Wrócił do siebie z ponurą myślą: Saffron Everhart na całego zadomowiła się w mojej głowie.

Kolejny atak mdłości wyrwał Saffie z łóżka tuż po tym, jak otworzyła oczy. Był tak silny i nagły, że pozbawił ją sił.

Boże, nie – jęknęła cicho, pochylona nad toaletą w łazience wielkości jej mieszkania w Chiswick. Teraz, kiedy potrzebowała całego swojego arsenału umiejętności, nie mogła sobie pozwolić na słabość i chorobę.

Nocą nękały ją niepokojące wizje João, po których budziła się rozpalona i stęskniona, wśród wzburzonej pościeli.

Nie miała gorączki, brzuch także jej nie bolał, więc z ulgą utwierdziła się, że to nie było zatrucie pokarmowe. Spróbowała kilku wyśmienitych kompozycji smakowych szefa Bouillarda, lecz nie miała apetytu.

Wzięła prysznic i ubrała się. Tylko lekkie sińce pod oczami wskazywały na przebytą właśnie ciężką noc. Włożyła na siebie garnitur w prążki w kolorze kości słoniowej oraz trzycalowe szpilki. To znacznie podniosło jej pewność siebie. Z lepszym nastawieniem udała się do jadalni.

João siedział przy stole, przeglądając „Financial Times". Na jej widok na ułamek sekundy zamarł. Saffie przypomniała sobie ich rozmowę poprzedniego wieczoru.

Znała odrzucenie. Wiele razy doznała tego uczucia podczas pobytu w sierocińcu. Lecz nie umiała sobie wyobrazić, co musiał czuć João, kiedy słyszał od ojca te straszne, okrutne słowa. Było dla niej jasne, że umiał je wykorzystać do motywacji i realizacji założonych celów. Było jednak coś jeszcze. Niewidzialne znamię, podobne do blizny na dłoni, które nosił wyryte głęboko w sercu. Przypuszczała, że od niego wywodziła się jego niechęć do posiadania dziecka.

– Masz zamiar stać tam cały ranek, Saffie? – usłyszała znów ten głęboki akcent, od którego dostawała gęsiej skórki. – Może dołączysz do mnie i zaczniemy dzień?

Zaczerwieniła się i podeszła. Zdziwiło ją, że zapach mocnej kawy, który zawsze lubiła, tym razem spowodował, że jej żołądek zareagował nerwowo. João spojrzał na nią znad gazety.

Dobry Boże – pomyślała. – Wygląda niesamowicie.

Miał na sobie włoską szarą koszulę i krawat w tym samym kolorze. Koszula dokładnie opinała silną klatkę piersiową. W ręcznie szytym prążkowanym garniturze jego szerokie ramiona wydawały się jeszcze szersze. Każdy ze zmysłowych szczegółów jego urody paraliżował jej nerwy, uniemożliwiając poruszanie palcami u rąk.

Chwyciła oparcie krzesła, lecz z powodu miękkich nóg opadła na nie w dość przypadkowej pozycji.

João nie skomentował. Był skupiony na jej twarzy. Uniósł lekko brwi.

– Co się dzieje?

– Słucham?

Odłożył gazetę.

– Wciąż źle się czujesz? Kiedy sprawdzałem w nocy, spałaś jak dziecko.

– Zaglądałeś do mnie w nocy? – zdziwiła się.

Po raz pierwszy w swojej karierze nie zauważyła w jego twarzy ani szczypty arogancji.

– Oczywiście – odparł. – Jestem wampirem, nie pamiętasz?

Nie dała się zwieść tym popisem nonszalancji. Ciepło rozlało się w jej wnętrzu.

Taksował ją wzrokiem, odpowiedziała więc szybko:

– Wszystko jest w porządku.

– Mam oczy, Saffie.

Sięgnęła po chusteczki.

– Jeśli będziesz kiedyś zmieniał profesję, nie zajmuj się medycyną. Nie wychodzi ci to. – Postanowiła obrócić wszystko w żart.

– Jestem zadowolony ze swojego obecnego życia – odbił piłeczkę. – Nie zmieniaj tematu. Jeśli wciąż coś ci jest, wezwę…

– Mówiłam już… – przerwała, ponieważ otworzyły się drzwi. Do środka wszedł kamerdyner ze srebrną tacą w ręce.

Wiedziała, co to będzie. Jej ulubione śniadanie: jajka Benedykta. Z grzankami, szynką i sosem holenderskim. João zamówił je dla niej u szefa Bouillarda.

Ledwie taca spoczęła na stole, Saffie poczuła, że jej żołądkiem targają wstrząsy.

– Dzień dobry – przemówił kamerdyner, z gracją odkrywając danie. – Mam nadzieję, że będzie pani…

Saffie gwałtownie poderwała się od stołu, licząc, że osłabione nogi nie zawiodą jej zaufania, i pobiegła do łazienki. W ostatniej chwili. Cała niewielka zawartość żołądka wylądowała w toalecie. Umyła twarz i usłyszała pukanie do drzwi.

Wszedł João. Zamknęła ze wstydu oczy. Gdy otworzyła je po kilku sekundach, miał przy uchu telefon.

– Co ty robisz? – jęknęła słabo.

– To, co powinienem zrobić już wczoraj. Wzywam lekarza.

Już miała zaprzeczyć, kiedy dostała kolejnego ataku. Włosy uwolnione z koka, opadły w dół. Gdy chciała je ująć, poczuła silne dłonie, które podtrzymały je w górze. Upokorzona ledwo słyszała jego rozmowę telefoniczną. Poczuła natomiast, jak głaskał jej skroń. Jęknęła słabo i postanowiła wstać. Objął jej talię mocnym ramieniem i zaprowadził do toaletki. Wzięła szklankę wody, którą jej podał, nie patrząc mu w oczy, lecz kiedy poczuła chłodny, wilgotny ręcznik na swoim czole, spojrzała na niego z wdzięcznością.

Patrzył na nią z troską. Postanowiła wyprzedzić pytanie:

– To zwykłe problemy żołądkowe.

– Czyżby?

– Co innego mogłoby być?

Wykręcił ręcznik pod kranem.

– Na pewno lekarz nam to wyjaśni.

– Ale czuję się dobrze – zaprotestowała.

– A więc nie sprawi ci problemu spełnienie tej mojej fanaberii. Dasz radę wstać? – zapytał szorstko.

Zdziwiona tym niezwykłym tonem i wzrastającym w jego ciele napięciem, przytaknęła.

Zabrał ręcznik, objął ją i, przyciskając do swojej piersi, wyprowadził z łazienki.

– Dam radę sama chodzić, João.

– Cała drżysz. Pierwszy raz widzę cię w takiej słabej kondycji.

– Przepraszam, że cię zawiodłam – powiedziała żałośnie.

Pomógł jej się położyć na ogromnej sofie i rozpiął guzik spinający jej marynarkę.

– Nie mam do ciebie żadnych pretensji – powiedział João.

Pojawił się kamerdyner, ogłaszając przybycie doktora Changa.

João wstał i podał rękę mężczyźnie. Następnie wyjaśnił mu sytuację. Lekarz zwrócił się do niej z serią pytań. Gdy stały się bardziej prywatne, João zaproponował:

– Jeśli się krępujesz, mogę wyjść.

– Nie, mogę mówić.

Nagle myśl, że jest z szefem na tak intymnej płaszczyźnie, zawstydziła ją. Odchrząknęła.

– Mówiłam, João… panu Olivierze, że wszystko jest w porządku, samo przejdzie.

– Saffie, odpowiadaj na pytania, *por favor*.

Doktor Chang sprawdził jej puls. Kiedy zapytał o termin ostatniego okresu, zaczęła odliczać w myślach dni. W pewnej chwili wstrząsnął nią szok: To niemożliwe! Wypierała datę, która jasnym neonem wyświetliła się w jej głowie.

– Panno Everhart? – łagodnie przypomniał lekarz.

Jej wzrok popłynął w stronę João. On wpatrywał się w nią ze śmiertelną powagą i zamyśleniem.

– Ja… minęło prawie dziewięć tygodni – wydusiła z siebie Saffie.

João zastygł. Jak kamień. Jego oczy błyszczały ze zdumienia, a z twarzy odpłynął kolor.

– Dziewięć tygodni? – Pochylił się do przodu. Kolejne pytanie zawisło w powietrzu jak katowski miecz. – Maroko?

– Możemy porozmawiać o tym później? – Zacisnęła usta.

– Tak czy nie? – zapytał cicho i łagodnie, lecz nie zwiodło jej to.

Przełknęła coś, czego nie było i nie mogło uwierać jej w gardle.

– Jeśli jestem w ciąży, to tak.

Szczęka João zacisnęła się. Nozdrza poruszały się gwałtownie. Przez jego twarz przechodziła cała fala odczuć.

– Więc, można założyć, że może być pani w ciąży? – włączył się doktor Chang.

Poczuła się, jakby skakała ze spadochronem w czeluść wypełnioną emocjami. Wizja kruchego i cennego życia, kiełkującego wewnątrz jej ciała, wprost odbierała jej oddech.

– Ja… nie sądzę. Zabezpieczyliśmy się.

Jednak pomimo tych słów była już pewna. Płonąca radość przebijała się mozolnie przez pierwszy szok. Poczuła się, jakby ktoś nagle odwrócił grawitację. Świat stanął na głowie, spełniając jej najskrytsze pragnienie o posiadaniu rodziny.

João poruszył się wreszcie, z siłą i ciężarem przesuwającej się płyty tektonicznej. Saffie czuła jego nadciągającą niczym spływająca lawa obecność.

– Żadna metoda nie jest niezawodna – odparł lekarz. – Czy pani cykle są regularne?

– Tak.

– Więc najbardziej prawdopodobną przyczyną tych mdłości jest ciąża – powiedział Chang uprzejmie, lecz z przekonaniem. – Zrobienie testu da pani odpowiedź.

Spojrzała na João. Nic nie mówił, ale jego oczy wyrażały wszystko.

– Proszę zrobić wszystkie wymagane badania – szepnęła.

– Oczywiście. – Pokiwał głową lekarz.

– Ile czasu zajmie upewnienie się? – zapytał João, który błądził po Saffie wzrokiem.

– To kwestia kilku godzin.

Saffron odchrząknęła.

– Czy badanie krwi wskaże, kiedy… jak długo jestem w ciąży?

– Do tego potrzebne będzie wykonanie USG.

João siedział jak na szpilkach. Nie spuszczał z lekarza wzroku.

– Takie urządzenie jest przenośne, prawda? – zapytał.

Saffie znała odpowiedź, jeszcze zanim Chang otworzył usta. Nic nie było poza zasięgiem najbogatszego człowieka na świecie.

– Tak. Hotel zapewnia pełną prywatną opiekę medyczną dla gości.

– Zgadzasz się, Saffie?

Serce biło jej jak kowalski młot.

– Tak.

– Przygotuję wszystko – zapewnił doktor Chang.

– *Bom.* – Kiwnął głową João, wciąż patrząc na dziewczynę.

– Czy istnieje jakieś inne wytłumaczenie dla tych nudności? – wypaliła Saffie pod wpływem jego wiercącego wzroku.

Lekarz uśmiechnął się pobłażliwie.

– To mało prawdopodobne. Pan Oliviera stwierdził, że wczoraj prawie nic pani nie zjadła. Jestem niemal pewny, że to poranne mdłości. Proszę się nie martwić, za kilka tygodni ustąpią. Proszę jeść krakersy, a także małe i częste posiłki.

– Krakersy? – powtórzył João z uniesionymi brwiami. W jego ustach nawet ten wyraz brzmiał seksownie.

– To takie ciastka, João – powiedziała. – Później pójdę do sklepu je kupić.

– Jedynym miejscem, w jakie pójdziesz, będzie twoje łóżko. Powiedz mi, czego potrzebujesz, a ja to przyniosę.

Prawie się roześmiała na myśl o João przeczesującym sklepy w poszukiwaniu krakersów. W tym czasie doktor Chang otwierał już torbę i przygotowywał się do pobrania krwi. Spakował próbkę i wstał.

Saffie zakręciło się w głowie. Świadomość tego, co się dzieje, uderzyła ją mocniej. Zachwiała się na krześle. João zaklął i złapał dziewczynę.

– Może jej pan coś podać?

Lekarz pokręcił głową.

– Nie mogę, jeśli jest w ciąży. Polecam odpoczynek i słabą herbatę – uśmiechnął się lekko. – Wrócę z pewnymi informacjami już za kilka godzin.

João uścisnął dłoń lekarza i odprowadził go do drzwi. Przez chwilę szeptali między sobą pod drzwiami.

– Mogę zapytać, o czym rozmawialiście?

João przewiesił marynarkę przez oparcie krzesła.

– To dla nas zupełnie nieznany teren. Chcę dowiedzieć się jak najwięcej.

– Nie rozumiem dlaczego? To nie ma z tobą nic wspólnego. Wiem, czego się spodziewać, więc się nie kłopocz – powiedziała i zaczęła wstawać z krzesła.

Jego twarz stężała. Podszedł do niej.

– Usiądź spokojnie, *por favor*. Uważasz, że nie ma to ze mną nic wspólnego?

– Nie mogę. Za piętnaście minut masz spotkanie z szanghajskim zespołem.

– Odwołałem je dwie minuty temu.

– Dlaczego?

– Bo mamy chyba ważniejszą sprawę do rozgryzienia, nie sądzisz?

Znów usłyszała w jego głosie tę dziwną nutkę.

– Słyszałeś doktora. My… ja… wyniki przyjdą za trzy lub cztery godziny. Poza tym bycie w ciąży nie jest wycieńczające.

– Jest, jeśli prawie nic nie jadłaś wczoraj, a dzisiaj rano dwa razy wymiotowałaś – sprostował João. – Kamerdyner przyniesie ci zaraz herbatę. W międzyczasie powiesz mi, co miałaś na myśli.

– Nie chcesz mieć dzieci, João. Pamiętaj, że nie jest to część twojego wielkiego planu. Lecz ja chcę. – Przesunęła dłonią po brzuchu z cichą fascynacją.

Przez chwilę nie odpowiadał. Wreszcie odezwał się miękko:

– Jest ogromna różnica między fantazją a rzeczywistością, *querida*. Na przykład ja sobie wyobrażałem, że moje relacje z ojcem będą inne, niż są w rzeczywistości.

Saffie oddychała ciężko, nic nie mówiąc. João kontynuował:

– Kiedy porzucam jakąś myśl, w pełni angażuję się w nową. Rozumiesz?

– Nie – odparła, nie chcąc przyjąć do wiadomości tego, co sugerował.

– Wyrażę się jaśniej. Może nie chciałem dziecka, ale w konfrontacji z rzeczywistością możesz być stuprocentowo pewna, że nie wyrzeknę się mojego potomka. – W oczach João płonął ogień. – Porozmawiamy jeszcze, kiedy poczujesz się trochę lepiej.

Saffron chciała się roześmiać, lecz uniemożliwił jej to nadchodzący atak paniki.

Doktor Chang wrócił przed południem. Saffie stała na środku pokoju z sucharkiem i filiżanką herbaty w ręce. Widok dwóch techników wjeżdżających wielkim ultrasonografem za próg rozwiewał wszystkie wątpliwości. João wsparł ją, obejmując w talii.

– To nasza nowa rzeczywistość, Saffie – wychrypiał cicho. Mówił łagodnie, lecz gdy spojrzała na jego twarz, dostała gęsiej skórki.

Doktor Chang podszedł, zostawiwszy techników i kamerdynera w dyskretnej odległości.

– Panno Everhart. Mam wyniki badania krwi. Jak zapewne się pani domyśla, jest pani w ciąży. Gratuluję.

Serce wyrywało jej się z piersi jak ptak uwolniony z klatki.

– Dziękuję – szepnęła.

– Czy nadal życzy sobie pani przeprowadzić badanie USG? – upewniał się Chang.

João napiął się z niepewności.

– Tak – odpowiedziała. – Poproszę.

Poczuła, że się zrelaksował.

Po kilku minutach leżała już na łóżku, a doktor Chang przesuwał po jej brzuchu głowicę ultrasonografu. Kiedy kolorowy, trójwymiarowy obraz pojawił się na ekranie, serce Saffie podskoczyło do gardła. Po kilku sekundach ujrzała na nim bijące serce. Wpatrywała się w nie ze świadomością obcowania z najprawdziwszym cudem świata.

Moje dziecko. Moja rodzina – pomyślała w uniesieniu. – Wszystkie moje marzenia w jednym. Zafascynowana kształtem, który widniał na ekranie, zrozumiała nagle jeszcze jedną rzecz i na chwilę zamarła. Dotąd

widziała w swoich planach tylko siebie i dziecko. Dwoje przeciw światu – przypomniała sobie. Postać ojca w ogóle nie pojawiała się w jej najśmielszych snach. Była poza zasięgiem wyobraźni.

Teraz musiała zmierzyć się z zupełnie nowym scenariuszem. W miejscu anonimowego ojca jej przyszłego dziecka, bezkształtnej i bezosobowej postaci, pojawił się najbogatszy i najbardziej wpływowy człowiek na świecie, którego status przewyższał jej ligę o całe lata świetlne. Człowiek ten zamierzał uznać za swoje dziecko, lecz nie ją. Ta świadomość odrobinę osłabiła jej wewnętrzną kipiącą radość.

Nagle wpatrujący się w monitor lekarz sapnął, a na jego czole pojawiła się zmarszczka zdziwienia.

– Co się stało? – zapytał niecierpliwie João.

– Po pierwsze, potwierdzam, że ciąża trwa już około dziewięciu tygodni – odparł Chang. – Lecz muszę jeszcze stwierdzić, że nie znajduje się tam tylko jeden płód, lecz dwa.

João zdumiony wciągnął gwałtownie powietrze.

– Co takiego? – wykrztusił.

– Panna Everhart będzie miała bliźnięta – wyjaśnił lekarz.

– O mój Boże! – Saffron uniosła rękę do ust.

– Jest jeszcze zbyt wcześnie, by określić płeć, lecz za kilka tygodni, jeżeli wyrazi pani taką wolę… – dodał Chang.

Spojrzała na João w chwili, kiedy zszokowany przenosił wzrok z ekranu urządzenia na jej brzuch. Przypomniała sobie jego wcześniejsze słowa: „ Nie wyrzeknę się mojego potomka”. Jego wzrok wyrażał dokładnie to, co wtedy powiedział.

– João…

– Nie teraz, Saffie.

Zamknął oczy. Nie była pewna, czy nie chciał w ten sposób ukryć przed nią swoich emocji.

Po wywiezieniu urządzenia, doktor Chang wręczył jej krótką broszurkę dotyczącą opieki przedporodowej oraz porcję witamin do zażywania, po czym wyszedł.

João, który od jakiegoś czasu patrzył przez okno, odwrócił się, gdy wreszcie zostali sami.

– Musimy porozmawiać. Zabezpieczyłaś się wtedy w Maroku?

Wciągnęła ostro powietrze do płuc.

– Chyba nie sugerujesz, że to wszystko zaplanowałam?

– Nie spodziewałem się czegoś podobnego. Ledwo ogarniam, w jaką stronę zmierza nasza obecna sytuacja – przyznał, marszcząc brwi.

„Nasza sytuacja”. Saffie pomyślała, że właśnie umieścił siebie w centrum jej przyszłego życia.

– Ach, okej, dziękuję – odpowiedziała niezgrabnie. – Nie, moje tabletki były niekompatybilne i czekałam na nową receptę. Nic nie mówiłam, bo używałeś zabezpieczenia, kiedy…

Jego oczy zalśniły.

– Kiedy uprawialiśmy seks – dokończył po chwili oczekiwania. – To nie żaden brzydki wyraz, Saffie.

– Wiem – zaczerwieniła się.

– Zabezpieczenie, jak widać, zawiodło – stwierdził João.

Westchnęła. Próbowała wyczytać coś z jego twarzy, lecz była nieprzenikniona.

– To oczywiście wszystko zmienia – kontynuował.

Poczuła duszność w piersi.

– W jakim sensie?

– W każdym. – Podszedł do drzwi. – Znów przesunąłem spotkanie z ekipą z Szanghaju, przerobimy więc ten temat później.

Wstała i, wygładzając ubranie, udała się za nim.

– Powiem kierowcy, żeby odebrał nas na dole za pięć minut – powiedziała.

João zatrzymał się z dłonią na framudze drzwi.

– Idę sam, Saffie.

– Czyżbym nagle stała się niepełnosprawna?

– Nie, ale nosisz teraz bliźnięta. Musisz się przyzwyczaić do tej myśli, czy ci się to podoba, czy nie. Proponuję, żebyś robiła to w łóżku.

– Proponujesz? To brzmi jak rozkaz.

João cofnął się spod drzwi. Podszedł do niej i bez ostrzeżenia wsunął dłoń w jej luźno rozpuszczone włosy.

– Nie wątpię, że jesteś w stanie przyjąć tę nowinę i jednocześnie wykonywać swoją pracę. Myślę natomiast, że potrzebujesz trochę czasu.

– Twierdzisz, że mnie to rozkleiło?

– *Sim.* Tak twierdzę.

Jak na złość, na potwierdzenie tych słów jej warga zaczęła się spazmatycznie trząść.

João trącił kciukiem jej usta, po czym odsunął się i skierował do drzwi.

– „Potrzebuję cię”. „Chcę, żebyś została”. „Zrobię wszystko, by to osiągnąć” – krzyknęła za nim Saffie. – Czy coś ci to przypomina, João?

Zamarł. Odwrócił się błyskawicznie.

– Pamiętam wszystko – odrzekł, po czym jego wzrok zsunął się niżej, do jej brzucha. Krył się w nim ogień zaborczości – Ale także chronię co moje, Saffron.

Zanim zdołała znaleźć właściwą odpowiedź, odszedł. Poczuła, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa i niechętnie zrobiła to, co polecił João. Wczołgała się z powrotem do łóżka.

João usiadł na skórzanym fotelu w limuzynie. Zauważył, że trzęsą mu się ręce. Gdy samochód ruszył sprzed wejścia do hotelu, odetchnął z ulgą.

Deus. Trząsł się już cały. Bliźnięta. Jego pierwszą myślą, kiedy dowiedział się o ciąży, było, że sprowadził ją poprzez swoje rozmyślania o potomku i dziedzictwie.

Lecz co poruszyło go najbardziej, to świadomość potrzeby, która powstała w jego umyśle. Potrzeby, która nakazała mu rościć sobie prawa do niespodziewanego efektu ich upojnej nocy w Maroku.

Musiał przyznać przed samym sobą, że zostawił Saffie w apartamencie głównie dlatego, że to on potrzebował czasu na uspokojenie targających nim emocji. Chciał także obmyślić strategię działania w nowej sytuacji.

Nosi moje dziecko. Moje dzieci. Moje… dziedzictwo – zakołatało mu w głowie. Zimny szok przeplatał się z gorącą determinacją. – Nie może mnie teraz opuścić.

To odkrycie było dla niego czymś nowym. Nigdy nie myślał w takich kategoriach. Paradoksalnie João wiadomość o ciąży przełknął dość gładko. Zaczął uznawać to nawet za jakąś formę boskiej interwencji, kolejnej płaszczyzny, na której mógłby być lepszy od swojego ojca.

Rozluźnił się. Wewnątrz jego głowy brutalne pobudki mieszały się ze specyficzną radością.

Nie planowałem tego, lecz rzeczywistość rządzi się swoimi prawami – uznał João. – Dziedzictwo, które przekażę swoim spadkobiercom, sprawi, że bezwartościowe nazwisko Oliviera zacznie wreszcie coś znaczyć. W końcu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Godzinę później Saffie wstała z łóżka, ubrała się i poszła do samochodu. Wiedziała, że spotkanie João miało się rozpocząć za dwadzieścia pięć minut.

Dzięki zielonej fali mijanych świateł drogowych, kierowcy udało się dotrzeć na miejsce tuż przed tym, kiedy zebrani tam pracownicy zasiadali wokół długiego stołu konferencyjnego. Zajęła miejsce naprzeciw João i odpaliła tablet.

– Saffie – wyszeptał. – Co ty tutaj robisz?

– Wykonuję swoją pracę. I tak, moja regeneracyjna drzemka zdziałała prawdziwe cuda. Może zaczniemy?

Przez chwilę zaciskał szczękę. Najwyraźniej rozważał, czy nie wyrzucić wszystkich obecnych z pomieszczenia. Wreszcie, skierował swój obrotowy fotel w stronę dyrektora operacyjnego i zebranie się rozpoczęło.

Po wszystkim Saffie zwolniła swojego kierowcę. Postanowiła się przejść.

Przeszła przez Pudong aż do Starego Miasta, mijając fascynujące świątynie w Ogrodach Yu. Gdy dotarła do celu swojej wędrówki, ekskluzywnej herbaciarni Xinqu Tea Hose, wiedziała już, że nie pozwoli nikomu wejść pomiędzy nią i jej dzieci, nawet komuś takiemu jak João Oliviera.

Zamówiła herbatę. João pojawił się niedługo po jej podaniu. Usiadł naprzeciwko Saffie, a jego brązowe oczy przeszywały ją na wylot.

– Wyszłaś, nie mówiąc nikomu, dokąd się wybierasz.

– Co wymaga postawienia pytania: jak mnie tu znalazłeś?

– Co ty chcesz udowodnić, Saffie? – Zgrzytnął zębami.

– Chcę oczyścić umysł. I napić się herbaty.

– Oczyścić umysł z czego?

Zacisnęła wargi. Nie chciała wtajemniczać go w coś, czego sama jeszcze dokładnie nie przemyślała.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz zrobić czegoś niemądrego tylko dlatego, że sytuacja nie wygląda dokładnie tak, jak to sobie wyobraziłaś?

Zaskoczył ją.

– Jak to „niemądrego”? – Popatrzyła w jego ciemniejące oczy i po chwili zrozumiała. – Ty myślisz… Nigdy bym tego nie zrobiła!

Najwyraźniej mu ulżyło.

– *Bom*. Dobrze, że myślimy podobnie.

– Oczywiście. To wszystko, o czym… – przerwała. – Będę się troszczyła o moje dzieci, João. Nigdy o tym nie zapominaj.

Kiwnął głową.

– Wyraziłaś to jasno i wyraźnie, podobnie jak w sali konferencyjnej.

– Dobrze, że się zgadzamy – odparła, lecz wiedziała, że nie było to do końca prawdą.

Następnego dnia ktoś zapukał do jej drzwi kilka minut po siódmej. Od rana przewracało jej się w brzuchu, leżała więc w łóżku, w miarę możliwości starając się nie ruszać.

– Proszę – zawołała słabo.

Zamiast spodziewanego lokaja do pokoju wkroczył João. W ręce trzymał sporej wielkości srebrną tacę.

Westchnęła, nieco zbyt gwałtownie, co spowodowało natychmiastową reakcję żołądka. Zasłoniła dłonią usta, licząc, że uniknie totalnej kompromitacji.

João zamarł w połowie drogi.

– Wszystko w porządku?

Wzięła kilka oddechów.

– Mdłości są większe, kiedy gwałtownie się poruszam – odparła. – Co tu robisz?

– Zanim wstaniesz z łóżka, powinnaś coś zjeść. To zalecenie lekarza.

Spojrzała na tacę. Był tam kubek herbaty, kilka przypraw i krakersy. Znała tę markę.

– Można je kupić wyłącznie u Winthropa w Nowym Jorku – stwierdziła.

– Tak, skontaktowałem się z twoim asystentem. Przyleciały nocnym czarterem.

– Zamówiłeś lot dla paczki krakersów? – Z zaskoczenia otworzyła usta.

– Kilka paczek. Pomogą ci przejść przez tę fazę ciąży. To nic wielkiego, Saffie.

Wiedziała, jak bardzo nieugięty był w biznesie, a tu przecież chodziło o coś więcej. W nocy powzięła decyzję, że nie może już dłużej chować głowy w piasek i musi mu powiedzieć o swojej decyzji. Sięgnęła po herbatę. João wpatrywał się w jej spływające swobodnie włosy.

– Coś nie tak? – zapytała złośliwie.

Zdawała sobie sprawę, że nie wyglądała najlepiej.

– Nigdy nie widziałem cię w rozpuszczonych włosach.

– Och! – Podniosła dłoń i zaczęła bezwiednie kręcić włosy wokół palca.

– *E lindo* – powiedział i sięgnął po ten kosmyk.

Saffie wiedziała, że znaczyło to: piękne.

Poczuła, jak pod wpływem tego komplementu jej piersi wyprężyły się pod satynowo-koronkową koszulą nocną. Sutki wyraźnie zarysowywały się pod delikatnym materiałem. João spostrzegł te wyraźne oznaki podniecenia. Jego palce z delikatną troską przesuwały się po opadającej kaskadzie włosów Saffie.

Nachyliła się do niego spragniona dotyku, z ogniem pożądania pulsującym pomiędzy udami. Z ust wyrwał się jej rozkoszny jęk. Wtedy zdała sobie sprawę ze swojego zachowania i cofnęła się zawstydzona. João spojrzał na nią z takim głodem, że Saffron niemal się rozmyśliła. Chwyciła jednak cieniutkie ucho kubka z herbatą i zaczęła ze skupieniem sączyć jego zawartość.

– Czy wszystko poszło dobrze z załogą z Makau? – zapytała, zmieniając temat. – Nie wróciłeś do chwili, kiedy się położyłam.

– Czekałaś na mnie, Saffie?

Zaczerwieniła się. Tak właśnie było.

– Tak, ale tylko dlatego, że mieliśmy porozmawiać.

– *Sim*, mieliśmy. Lecz jeszcze nie teraz. – Jego twarz stwardniała.

– Co masz na myśli?

– Jedz. – Podsunął jej tacę z krakersami.

Ugryzła krakersa. Był wyśmienity. João najwyraźniej czekał, aż skończy. Zjadła jeszcze kilka i z ulgą przyjęła fakt, że nie wywołały u niej mdłości. Odłożyła kubek na srebrną tacę.

– Skończyłam. Porozmawiajmy.

Przez chwilę przyglądał się jej twarzy. Nagle wstał i zwinnym ruchem, przywołującym widok dzikiego kota, odwrócił się w stronę okna.

– Teraz, skoro główny powód, dla którego chciałaś ode mnie odejść, już… hm… się wydarzył, czy można stwierdzić, że zostaniesz? – zapytał, obserwując widok za oknem.

Z jednej strony chciała powiedzieć: „tak”, lecz zdawała sobie sprawę, że wypływała na trudne emocjonalnie wody. Z drugiej strony zadawała sobie pytanie, czy nie było już za późno. Czy posiadanie z nim dzieci nie tworzyło między nimi nierozerwalnej więzi?

– Ja… nie wiem – odparła.

– Kiedy będziesz wiedziała? – odwrócił się do niej.

– Dlaczego pytasz?

– Ponieważ od tego zależy mój następny ruch.

– Ruch?

– Nic, co nie może zaczekać, aż nie skończymy transakcji z Lavinią. Teraz dostaniesz dwóch dodatkowych asystentów. Od dzisiaj będzie też z nami stale podróżował lekarz.

Zmarszczyła brwi.

– Chcesz, żebym się poczuła jak jakieś egzotyczne zwierzę w klatce?

– *Que?* O czym ty mówisz?

– Zatrudnić więcej asystentów? To jasny sygnał, że coś jest nie tak. A lekarz? Równie dobrze mógłbyś wystawić mnie na scenę i świetle jupiterów oznajmić światu, że zaszłam w ciążę, a ty jesteś ojcem!

– Saffie…

– Nie. Chcę, by moja ciąża była normalna…

– Ale nie jest!

Podszedł powoli do łóżka.

– Kiedy minie umówione dwanaście tygodni twojej pracy, zdecydujesz, czy zostaniesz, czy odchodzisz. Ufam, że do tej pory rozważysz to

wszystko?

Chciała z nim dyskutować, lecz zrezygnowała. Znała statystyki i wiedziała, że pierwszy trymestr jest najbardziej newralgiczny, a ciąża mnoga jest obarczona szczególnym ryzykiem. Nie mogła sobie wyobrazić, że coś mogłoby pójść nie tak.

Chciała także zobaczyć triumf João w związku z transakcją Archer. Była w niej wciąż nutka profesjonalnego zaangażowania.

– Dobrze – odpowiedziała.

– Świetnie. Możesz do mnie dołączyć, kiedy będziesz gotowa. Przygotowałem kontrofertę dla katarskiej spółki, z którą Pueblo negocjuje.

Saffie poczuła podekscytowanie. Jej życie zawodowe było stabilne, pomimo zupełnie niepewnej i nowej sytuacji życiowej, z jaką musiała się zmierzyć.

Dołączyła do niego po trzydziestu minutach. João był w pełni profesjonalny, nie licząc żarliwego studiowania przylegającej liliowej sukienki, którą na siebie włożyła.

W takim duchu minął następny tydzień.

Kiedy Lavinia oświadczyła, że jej orchidea ma zakwitnąć w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, Saffie wysłała zaproszenia na przyjęcie przygotowane specjalnie na tę okazję. Z satysfakcją spostrzegła, że na jej prośbę o potwierdzenie przybycia skrzynka mejlowa została zasypana niemal natychmiastowo. Wydarzenie stało się najważniejszym tematem rozmów całego finansowego świata.

João uśmiechnął się, gdy się o tym dowiedział.

– Przeszłaś samą siebie – powiedział z uznaniem, po czym wyciągnął dłoń i pogładził ją po policzku. – Wiedziałem, że mnie nie zawiedziesz.

Te słowa zapadły jej w serce.

– Jeszcze mi nie dziękuj. Będzie cię to kosztowało sporą sumkę.

Saffie wydała na przygotowania zawrotną kwotę siedmiu milionów dolarów. João przeznaczył na zaimponowanie Lavinii fundusze w wysokości dwudziestu milionów i odkąd ta potwierdziła chęć pozostania w Szanghaju, był to absolutny priorytet obowiązków młodej asystentki João Oliviery.

– Zwróci się z nawiązką. Jestem przekonany.

Wiara João w jej umiejętności prawie unosiła ją w powietrzu.

Do niedzielnego wieczoru zjadały ją nerwy. Przeglądając się w lustrze, spostrzegła też, że piękna kremowa suknia, która jeszcze tydzień wcześniej pasowała na nią idealnie, nagle stała się trochę zbyt obcisła w biuście i talii, a rowek między piersiami zbyt rzucający się w oczy.

Asymetryczny gorset sukni ozdobiony był kryształami Swarovskiego, które rzucały połyskliwą poświatę na jej wypielęgnowaną skórę. Saffie przygryzła dolną wargę, zastanawiając się, czy zostawić włosy rozpuszczone. Fryzjer, który pojawił się u niej wraz z ekipą stylistów, nalegał na to, twierdząc że byłby to grzech, gdyby związała tę piękną kaskadę włosów. Wystylizował je jedynie i nad ramionami kręciły się gęstymi lokami. Wyglądały bardzo elegancko.

Biżuteria na ten wieczór miała być na szczęście dużo skromniejsza niż poprzednio. Platynowy łańcuszek zwieńczony diamentem w kształcie serca nie konkurował z kryształami wplecionymi w suknię. Skinęła głową i odeszła od lustra. Była gotowa.

Przemierzyła wyłożony marmurem korytarz i weszła do salonu. João tradycyjnie stał przy oknie, podziwiając widok.

Gdy się odwrócił, Saffie poczuła podekscytowanie. Ręka z kieliszkiem koniaku zastygła w połowie drogi do ust mężczyzny.

Zamruczał coś po portugalsku.

– Jeżeli to był komplement, to chciałabym, by był po angielsku, inaczej mogę pomyśleć, że się ze mnie nabijasz – zdobyła się na odwagę.

João uśmiechnął się lekko. Podszedł do niej ze zmarszczonym czołem.

– To był komplement. Ale taki, który traci siłę, gdy się go przetłumaczy. Musisz się jednak nauczyć mojego języka.

Saffie nie powiedziała mu, że zaczęła słuchać do snu portugalskich taśm, odkąd zrozumiała, że jej dzieci będą w połowie Brazylijczykami. Chciała wspierać je w każdym aspekcie ich przyszłego życia.

– W takim razie dziękuję – odparła z łagodnym uśmiechem.

– *De nada.*

Odłożył kieliszek.

– Idziemy?

– Chyba tak. – Kiwnęła głową.

– Nie wydajesz się zbyt pewna, Saffie.

– To była ciężka przeprawa. Boję się, by coś nie wyskoczyło w ostatniej chwili.

– Nic takiego się nie zdarzy. Nie pozwolę na to. – Machnął lekceważąco ręką.

Podał jej wytwornie ramię, a ona ujęła je z bijącym mocno sercem. Czuła jego męską siłę. Ta świadomość prawie zwalała ją z nóg, kiedy zjeżdżali windą na parking.

João pomógł jej zająć miejsce na pluszowej kanapie rolls royce’a. Czuła stres podczas całej dwudziestominutowej trasy na miejsce, do mostu Lupu, słynnej wizytówki Szanghaju. Tam Saffie mogła w pełni podziwiać efekty swojej ciężkiej pracy.

Ten piękny, drugi co do wielkości most łukowy na świecie został zamknięty dla ruchu publicznego, by mógł odbyć się na nim wielki wieczór

João Oliviery.

Oświetlały go jaskrawoniebieskie reflektory, a przez całą długość tej fantastycznej konstrukcji rozciągnięto czerwony dywan, na którym ustawiono stoliki w tym samym kolorze. Saffie spojrzała na to wszystko z satysfakcją.

Lokaje w białych rękawiczkach odprowadzili ich do stolika. Kwartet smyczkowy umilał czas zgromadzonym gościom sączącym drinki i koktajle.

Gdy przybyła Lavinia, główny gość wydarzenia, Saffie wstrzymała oddech, czekając na jej reakcję. Jeden rzut oka na jej twarz, wpatrującą się z niedowierzaniem i zachwytem na otaczającą ją inscenizację, rozwiewał jakiekolwiek wątpliwości. Była urzeczona.

– A nie mówiłem? – Saffron usłyszała za sobą szept João.

Odwróciła się i ujrzała jego oszałamiający uśmiech. Przeszli po czerwonym dywanie na sam środek mostu, gdzie czekał na nich stół ozdobiony cudowną kompozycją kwiatową.

Lavinia promieniowała, gdy podchodziła do nich z wyciągniętymi rękami.

– Nie sądziłam, że będziesz w stanie przebić samego siebie. Myliłam się.

– Nie jesteś pierwszą osobą, która nie doceniła mojej determinacji, Lavinio. – W jego ciepłych słowach podskórnie zabrzmiał zgrzyt stali.

João podsunął krzesło siadającej Saffie, po czym usiadł między nią a Lavinią.

– Osobą, która jest za to wszystko odpowiedzialna, jest Saffron – wyjaśnił.

Lavinia zerknęła na Saffie i mrugnęła.

– Zaczynam już rozumieć, jak bezcenną wartość przedstawia. Uważaj, żebyś jej nie stracił.

– Nie zamierzam.

Serce Saffie zaśpiewało z radości. Wiedziała, że to głupie, lecz mimo tego ten nastrój nie opuścił jej przez cały czas podawania koktajlów i przekąsek. Zamiast Dom Perignon piła co prawda wodę mineralną, ale nikt tego nie skomentował.

João roztaczał swój niewymuszony czar i urok w rozmowach z politykami, milionerami i gwiazdami filmowymi z tak zwanej listy A, na którą dostawało się, gdy gaża za rolę w filmie przekraczała dwadzieścia milionów dolarów. Saffie obserwowała go, zastanawiając się, jak chłopiec, który wychował się w slumsach Rio de Janeiro, doszedł do tego miejsca. I jak wiele musiał poświęcić, by to osiągnąć.

– Coś nie tak? – João przerwał pogawędkę z jednym z gości i zmierzył ją płonącym wzrokiem.

Zarumieniła się, przyłapana na czymś w rodzaju podglądania.

– Nie, absolutnie.

Obserwował ją przez chwilę. Wreszcie bez ostrzeżenia objął ją w talii i przyciągnął do siebie, a następnie, jak gdyby nigdy nic, wrócił do przerwanej konwersacji.

Saffie stała jak wryta, aż do momentu przybycia kelnera, który szepnął jej do ucha, że kolejna część wieczoru jest już przygotowana. Opuściła więc towarzystwo João, lecz zaraz opanowała ją jakaś wewnętrzna pustka. Skrytykowała się w duchu za tę słabość.

Podano wytworną, sześciodaniową kolację. Każde danie spotykało się z uznaniem wśród zgromadzonego wytwornego towarzystwa.

Podczas deseru rozpoczął się punkt kulminacyjny. Szczególny reflektor oświetlił postać w białym, trzyczęściowym garniturze, znajdującą się

w najwyższym punkcie mostu. Gwar rozmów ucichł, w przestrzeń poleciały pierwsze dźwięki koncertu skrzypcowego. Po kilku chwilach skrzypek zaczął opadać niżej, muzyka stawała się wyraźniejsza i głośniejsza. Muzyk wylądował lekko naprzeciw Lavinii. Ukląkł na jedno kolano i w tej pozie dokończył swój oszałamiający występ.

Gdy już ostatnie echa żywiołowych oklasków ucichły, prowadzący uprzejmie poprosił zebranych gości, by zbliżyli się do orchidei.

Setka zaproszonych osób otoczyła postument, na którym znajdował się kwiat. Rozpoczęło się przedstawienie. Pierwszy pąk rozkwitł w kwiat o czarnych, kremowych i fioletowych pasach. Potem następny, a gdy rozwinął się trzeci i orchidea zaczęła roztaczać słodki, piękny zapach, rozległ się gromki aplauz, którego dźwięk odbijał się od konstrukcji mostu.

Lavinia dyskretnie musnęła dłonią oczy i weszła na postument. Podniosła swój świeżo rozkwitły prezent.

– Mój Boże – powiedziała. – Przy tym moje urodzinowe plany wyglądają żałośnie.

– Mam nadzieję, że znajdzie się powód, aby stały się wyjątkowe – odparł João, eskortując ją do stołu.

– Być może.

Godzinę później, przy stole, João pochylił się do Saffie.

– Zrobiłaś to. Brawo.

Uśmiechnęła się z ulgą, a João teatralnie wstrzymał oddech.

– Co się stało?

– Będę musiał zdwoić wysiłki, by upewnić się, że zostaniesz.

Nagle Lavinia delikatnie chrząknęła i odezwała się do niego:

– Kilka dni temu byłam na lunchu z twoim ojcem.

– Tak? – João poczuł, jak arktyczny mróz przenika jego twarz.

– Opowiedział mi o tym, jak widzi przyszłość mojej kompanii. To było bardzo ciekawe, delikatnie mówiąc.

– Wiesz, że zamierza podzielić ją na mniejsze spółki i wyprzedać z zyskiem? Będzie cię przy tym zapewniał, że robi to dla dobra spółki.

Lavinia się zasmuciła.

– Nie wyraził się aż tak jasno.

– To właśnie zrobi, jeśli dostanie taką szansę.

Upiła szampana.

– Trudno sobie wyobrazić, że dzieło czyjegoś życia może wylądować na śmietniku.

– Dlaczego więc mi się opierasz? – zapytał gładko João.

Przez chwilę bawiła się stopką kieliszka z winem. Wreszcie spojrzała bystro na mężczyznę.

– Bo nie wiem do końca, czy nie jesteś taki jak ojciec.

Saffie dostrzegła, że we wnętrzu João wzbiera bezgłośna furia, lecz Lavinia zdołała zażegnać jej wybuch.

– Przepraszam, może cię to uraża, ale chciałeś się dowiedzieć, dlaczego tak postępuję. Teraz już wiesz.

Po pełnej napięcia chwili João skinął głową.

– Doceniam to – powiedział. – Może dasz mi szansę udowodnić, że się mylisz?

Lavinia Archer wyprostowała się w krześle. Jej oczy rozbłysły na myśl o kolejnej przygodzie.

– Jak, u licha, masz zamiar to przebić?

– To proste. Pojedź do Brazylii.

– Byłam tam. Wiele razy.

Uśmiechnął się z pewnością siebie.

– *Sim*, ale nie w mojej Brazylii.

Lavinia upiła łyk z kieliszka.

– Po tym, co pokazałeś mi tego wieczoru, wprost nie mogę się doczekać, by się dowiedzieć, co jeszcze masz w zanadrzu.

João skinął, a potem jego wzrok stwardniał.

– Mam jednak jeden warunek. Zanim opuścisz Brazylię, dasz mi odpowiedź. Wiesz, że jestem zajętym człowiekiem, mam też inne interesy do doglądania. – Rzucił okiem na Saffie, która poczuła się nagle nieswojo. – Interesy, których nie mogę już dłużej odsuwać. Zgoda?

Mówiąc to, patrzył na Saffron. Dopiero po chwili spojrzał na Lavinię.

Starsza pani również na nią popatrzyła i Saffie wiedziała już, że próbowała wyczytać coś pomiędzy wierszami i wyciągnąć własne wnioski.

– Zgadzam się. Teraz niestety muszę już iść. Potrzebuję co najmniej ośmiu godzin snu, by normalnie funkcjonować. – Wstała i podała João rękę. On ujął ją i szarmancko pocałował.

Goście zaczęli się rozchodzić niedługo później. Pozostała tylko atmosfera naładowanej elektrycznością ciszy. Kwartet smyczkowy wciąż grał w tle.

– João… – zaczęła Saffie.

– Zatańcz ze mną – zażądał znienacka.

– Ja… co?

Odsunął krzesło, wstał i wyciągnął rękę.

– Mamy to miejsce dla siebie do północy. Szkoda, żeby się zmarnowało, prawda?

Przełknęła nerwowo. Bardzo tego chciała, serce niemal wyskoczyło jej z piersi.

– Czekam, Saffie.

Wciągnęła powietrze i poddała mu się. Podała swoją dłoń, pozwoliła się podnieść i przyciągnąć do siebie.

Jedną rękę oparł na jej plecach, drugą dłoń splótł z jej palcami.

Skrzypek zagrał wolną, romantyczną melodię. Taką, która wymagała tylko prostego kołysania się ciał na czerwonym dywanie.

Saffie czuła jego urzekający zapach, ciepło oraz moc, którą tak swobodnie promieniował.

Kiedy po zrobieniu pełnego obrotu jego usta musnęły jej skronie, zamknęła oczy i dała się ponieść hipnozie. Westchnęła. Przyciągnął ją bliżej, jej piersi dotknęły go samymi czubeczkami. Jęknęła podekscytowana i oparła głowę na ramieniu João. Marzyła, że od tej chwili należy do niego, że wreszcie nie jest sama na świecie.

Nie wiedziała, jak długo tańczyli. Chciała, by ta chwila nigdy się nie skończyła. Wypierała z umysłu błyski twardej rzeczywistości, mówiącej, że to hormony, że wpływa na niebezpieczne wody uczuć wobec João Oliviery.

Poczuła, jak musnął ustami jej szyję.

– Pragnę cię, Saffie. – Pierwotny głód jego głosu wywołał w niej dreszcz i zdusił ostatnie oznaki oporu, jakie jeszcze w sobie miała. – Tylko na tę noc. Chcę byś była moja.

Postanowiła poczekać chwilę na coś, na znak, który nie nastąpił. Mogła już tylko unieść głowę i spojrzeć mu w płonące z pożądania oczy.

– A więc masz mnie – odparła prosto.

Ujął jej dłoń i zaprowadził wzdłuż czerwonego dywanu do oczekującego rolls royce’a. Kierowca otworzył im drzwi.

Saffie pospiesznie wsiadła za João do środka. Rzucili się na siebie w tym samym momencie.

Jęknęła, czując na ustach język, pragnący poznać jej smak. Ta noc należała do niej. Poddawała się ochoczo jego dotykowi i z niecierpliwością

oczekiwała na każdy kolejny pocałunek i pieszczotę. João sprawiał jej przyjemność, niczym dobre wino. I niczym dobre wino, dostawał się do krwi, rozbudzając zmysły i rozpalając je do czerwoności.

Zasłona kabiny była podniesiona. Objął ją w talii i posadził sobie na kolanach. Odsunął tren sukni, aż dotarł do jej kobiecości. Tym razem również nie była w stanie powstrzymać jęku rozpierającego jej pierś.

Jedną ręką przyciągnął ją i pocałował. Druga napierała jej plecy tak, że biodra Saffie ocierały się o jego wybujałą męskość.

– Och! – westchnęła Saffie. W jej żyłach zapłonął prawdziwy ogień.

João uśmiechnął się szelmowsko. Opadła na niego z kolejnym pocałunkiem. Ręka João pieściła jej pierś.

Samochód zatrzymał się przed wejściem dla VIP-ów. Po kilku minutach, potykając się i potrącając różne przedmioty, dotarli do salonu. João wziął Saffie na ręce i zaniósł do głównego apartamentu. Saffron zrzuciła suknię i stanęła przed nim kompletnie nago. On rozbierał się wolno, przyglądając się jej nagości.

– Pierwszy raz widzę cię taką – powiedział.

Poczuła lekkie ukłucie lęku. Przeklęła je w duchu, mówiąc sobie, że nie ma się czego bać.

Ta noc należy do niej.

– I? – podchwyciła prowokacyjnie.

– Jesteś jeszcze piękniejsza, niż to sobie wyobrażałem.

Ujął ją lekko i ułożył na łóżku. Pochylił swoje piękne, twarde ciało nad nią i zaczął obcałowywać każdy centymetr jej ciała. Gdy dotarł do piersi, zwolnił tempo. Gładził je i masował. Dmuchał zmysłowo w jej sterczące sutki, aż przeszły ją fale deszczy.

– Są zbyt wrażliwe? – zapytał.

Kiwnęła głową, rumieniąc się. On wciąż je całował i ssał, obserwując przy tym jej reakcję.

– João! – jęknęła i ścisnęła jego głowę, kiedy fala przyjemności przebiegła przez jej ciało.

Gdy jego palce zakradły się pomiędzy jej uda, westchnęła ponownie. Drażnił ją i pieścił, a ona nieomal płakała, ściskając go na oślep, wszędzie.

– Pragnę… Pragnę… – wyrzuciła z siebie.

– Powiedz, czego pragniesz, a to się stanie, *querida*.

– Pragnę… byś był we mnie. Proszę.

Jego nozdrza się rozszerzyły, a przez ciało przebiegł dreszcz. Ostrożnie ułożył się nad nią, dłonie wplótł w jej włosy, przykuł wzrok do jej oczu, po czym jednym zdecydowanym ruchem bioder spełnił jej prośbę.

Jęknęła, odchylając głowę do tyłu. Przyciągnął ją do siebie.

– Spójrz na mnie, Saffie.

Zrobiła to.

– Opleć mnie ściślej nogami – rozkazał szorstko.

Gdy to zrobiła, zadrżał z przyjemności. Zaczął poruszać się z pewnością, wydając z siebie westchnienia wzrastającej potrzeby przy każdym mocnym uderzeniu. Saffie rozpoczęła wraz z nim podróż ku spełnieniu. Zanim zmysły całkiem pozbawiły ją samokontroli, całowała i pieściła każdy kawałek jego ciała, jaki mogła dosięgnąć. Drżącymi rękami pocierała jego kości policzkowe i usta, które dostarczały jej tak wiele doznań. João odwrócił głowę i pocałował jej palce. Poczuła, że jej oczy wypełniły się łzami.

To jest zbyt wiele – myślała w gorączce. – On to zbyt wiele.

Lecz nie mogła się już zatrzymać. Pozostało tylko poddać się temu nadzwyczajnemu przeżyciu.

I wreszcie nadeszło. Spełnienie zaprowadziło ją na krawędź urwiska, z którego rzuciła się w szaleńczy wir rozkoszy. Objęła João mocno ramionami, jedyną stałą rzecz w jej wolno opadającym wszechświecie.

Gdzieś ponad dziką falą przyjemności usłyszała, jak wymrukiwał portugalskie słowa. Jego ruchy stały się nieskoordynowane, z ust wyrwały się chrapliwe westchnienia obwieszczające nadejście ekstazy.

Przez kilka minut dźwięki ich zdyszanych oddechów rozlegały się w pomieszczeniu.

Wreszcie João obrócił się na plecy, zabierając Saffie ze sobą. Gładził jej włosy, rozgarniając ich niesforne kosmyki ze spoconego czoła.

Hipnotyczny dźwięk bicia jego serca wprowadził ją w stan błogości i spokoju. Lecz nie chciała zasnąć.

Gdy jego dłoń podążyła kolejny raz do jej włosów, ujrzała na niej bliznę, która spowodowała w niej przypływ współczucia. Zdawała sobie sprawę, że wkracza na niebezpieczny teren, ale zaryzykowała. Przesunęła palcem po bliźnie i spojrzała na João.

– Skąd ją masz?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

João spiął się wewnętrznie. Nie potrzebował współczucia. W ogóle nie miał ochoty rozmawiać na ten temat. Jego kochanki często zadawały mu to pytanie w łóżku, z różnych, często niezbyt szczerych intencji. Żadnej z nich nie wyjawił swojego sekretu.

Wiedział jednak, że Saffie była inna. Przez te cztery lata ani razu nie zdradziła jego zaufania.

Złapał ją za wędrujący po dłoni palec. Westchnęła zszokowana. Przyglądał się jej twarzy, ale ujrzał tam tylko otwartą i czystą ciekawość. Dojrzał też, że zaczynała się czuć niepewnie w tej przedłużającej się ciszy.

Odetchnął głęboko.

– Pamiętasz… Mówiłem ci kiedyś, że moja matka była narkomanką?

Skinęła głową.

– Więc, kiedy po zdobyciu narkotyków zostawała jakaś gotówka, czasem kupowała jedzenie dla syna. Jeżeli nie… – Wzruszył ramionami. – Od chwili, kiedy nauczyłem się mówić i myśleć, musiałem polegać już na sobie.

Jej wzrok był pełen współczucia. Zwalczył w sobie chęć zatopienia twarzy w jej szyi, by wdychać seksowny zapach.

– Często ją widywałeś, zanim umarła?

– Nie. Odcięła pępowinę na dobre, kiedy miałem dziesięć lat.

– Zostawiła cię, gdy byłeś taki mały? – zapytała z bólem.

– *Sim.* – Zacisnął usta. – Podobnie jak ciebie.

Jej oczy pokrył cień.

– Ja nawet nie znałam rodziców.

– Więc możesz śmiało uznać, że miałaś szczęście.

– Nie czuję się tak – powiedziała ostro. – Może wiedza i jej świadomość wydają ci się najgorszą torturą…

João prychnął szyderczo.

– …lecz pozostawienie dziecka na ławce, z krótką notką, że lepiej będzie mu bez matki, jest także prawdziwym piekłem – dokończyła niezrażona. – Możesz mi zaufać.

„Możesz mi zaufać”. Dźwięk tych słów wywołał w nim niepokój. João z założenia nie ufał nikomu.

– A ty? Próbowałaś odnaleźć kiedyś matkę?

Spochmurniała. Nagle João postanowił sprawić, by wyraz bólu znikł z twarzy Saffie.

– Tak – odpowiedziała. – Wydałam fortunę na podążanie za tropami, które zawsze prowadziły donikąd. Później uświadomiłam sobie, że ona nigdy nie próbowała mnie znaleźć, więc pogodziłam się z tym.

– I postanowiłaś spełnić jej życzenie? Nie dowiedzieć się?

– Musiałam. To było bolesne, ale nawet nie mogę jej obwiniać za to, co zrobiła, nie znając całej historii.

– To bardzo wyrozumiałe z twojej strony.

– Musiałam znaleźć jakiś sposób, by nie zwariować. Poza tym obiecałam mojej matce zastępczej, że nie będę już rozdrapywała tych ran.

João zamyślił się. Przez chwilę ogarnął go podziw dla Saffie, że jest dobra i potrafi pogodzić się z przeszłością. Spostrzegł, że gładził dłonią jej brzuch, w którym kiełkowało życie. Jego potomstwo.

– Wciąż nie powiedziałeś, skąd wzięła się ta blizna – przerwała ciszę Saffie, muskając go palcami.

Zadrżał. Po części przez jej dotyk, po części przez wspomnienia, od których nie mógł uciec.

– Większość mojej młodości spędziłem na uciekaniu przed bandami. W *faveli* albo jesteś w jakimś gangu, albo przeciwko wszystkim. Gdy zrobiło się gorąco, dołączyłem do jednego z nich, lecz zawsze stawiałem granicę. Nie sprzedawałem narkotyków ani nie rabowałem turystów. Później zniknąłem. Jeden z przywódców gangu uparł się mnie odnaleźć. Chciał dać mi nauczkę.

Saffie westchnęła z grozy.

– Pociął ci dłoń?

– Zamierzał obciąć mi kilka palców. – João uśmiechnął się ponuro. – Ale nie zdołał dokończyć swojego dzieła.

– Jak… Kto go powstrzymał?

– *Um anjo negro*, jeśli wierzysz w takie rzeczy.

– Anioł… ciemności? – przetłumaczyła niepewnie.

Uśmiechnął się zadowolony.

– Twój portugalski jest coraz lepszy, *querida.*

– Kim on był?

– Później się dowiedziałem, że lekarzem międzynarodowej akcji humanitarnej, co okazało się dla mnie zbawienne. Po tym, jak mnie uratował, uciekłem, lecz w ranę wdało się zakażenie. Odnalazłem tego człowieka. Wyleczył mnie, a potem zatrudnił jako pomoc przy pracach w ogrodzie. W zamian zajął się moją edukacją.

– I w ten sposób…?

– Zaczął od podstaw. Okazało się, że bardzo szybko opanowuję zagadnienia i zatrudnił dla mnie prywatnego nauczyciela. W ekspresowym tempie zdałem egzaminy na studia, a gdy je skończyłem, dostałem kapitał potrzebny do założenia mojego pierwszego interesu.

Oczy Saffron rozszerzyły się.

– Mój Boże, João, to niesamowite.

Tak bardzo chciał się pogrążyć w jej radości. Chciał nawet więcej, i to go właśnie zmroziło. Nie mógł pozwolić sobie znów na taką potrzebę. Za bardzo przypominała rozmarzoną modlitwę małego chłopca z przeszłości, którego jedyną odpowiedzią była głucha, zimna cisza. Mógł polegać tylko na sobie i był w tym mistrzem.

– Musiałem na to zapracować. – Uśmiechnął się lekko i wzruszył ramionami. – Zamieniłem porażkę w sukces. Ten dobry człowiek, lekarz, otrzymał ode mnie fundusze w wysokości ponad stukrotnie większej od jego hojnej pomocy. Tak to zawsze wygląda.

Błysk w oczach Saffie zblakł.

– Chyba tak naprawdę w to nie wierzysz?

– A co jeszcze?

– To, że zobaczył w tobie coś więcej? Że nie byłeś dla niego zwykłym projektem? Może chciał dać ci to, czego nie otrzymałeś od swojego ojca?

João zastanowił się. Ernesto Blanco był orędownikiem ciężkiej pracy, lecz znajdował także czas na rozmowę, na poznanie nadziei i marzeń młodego João. Jednak on tłumił wówczas te próby. Bał się otworzyć. Bał się zawodu.

Poczuł się winny.

– To było tak dawno temu, że już nie ma znaczenia. – Spojrzał na Saffie. Podobnie jak było z Ernestem, również na nią nie chciał wylewać swoich uczuć.

Oparła głowę na jego torsie, podkładając pod nią pięść. João zaskoczyło, że nie usatysfakcjonowała go ta reakcja. Czuł pustkę. Odrzucił jedyny powód, który zaświtał mu w głowie.

João Oliviera nie potrzebował nikogo i niczego. Zwłaszcza jakichś ulotnych emocji.

Saffron obudziła się z przejmującym uczuciem zapadania się w pustkę. Czuła, że godzinę wcześniej João wyszedł z łóżka i od tej pory udawała, że śpi. Bała się spojrzeć mu w oczy i ujrzeć żal, który zakończył ich nocną rozmowę. Wiedziała, że żałował tego powrotu do przeszłości.

Pomyślała z ironią, że chociaż podchodziła do ich wspólnej nocy jak do jednorazowej przygody, chciała, aby João tak tego nie traktował. Ten „romans" zbliżył ją do niego. Nie mogła dłużej oszukiwać swoich uczuć. Stał się dla niej wyjątkowy i chciała go więcej. Musiała zaakceptować fakt, że ich wspólne dzieci nie były już wszystkim, czego pragnęła. Paniczny strach wywołała w niej myśl, że João nigdy tego nie poczuje.

Nie wiedziała już, czy będzie umiała po prostu odejść.

Galopadę jej myśli przerwało pukanie do drzwi, które przywitała z ulgą. Odpowiedziała i w drzwiach pojawił się lokaj z tacą w ręce. Przyjęła ją i zapytała:

– Czy jest pan Oliviera?

– Polecił mi przekazać, że ma poranne spotkanie i wróci w porze lunchu. Prosił, by pani wypoczęła.

João często dawał jej wolne poranki po ważnych wydarzeniach. Mimo to serce lekko ją zakłuło.

Nie mógł mi dać wyraźniejszego sygnału po wspólnej nocy – pomyślała z goryczą.

Ich drugi tydzień w Szanghaju przebiegał pod znakiem dystansu i pełnego profesjonalizmu. Poza biurem João wykorzystywał każdą nadarzającą się okazję, by nawiązać z nią kontakt fizyczny. Brał ją za rękę, gdy pojawiali się publicznie na czerwonym dywanie, przyciągał do siebie bliżej, kiedy jej uwaga błądziła gdzieś w zakamarkach własnych myśli, tańczył z nią podczas gal i imprez charytatywnych.

Wszystko to przy ograniczaniu się do komplementowania jej wyglądu oraz pytań o poranne mdłości i samopoczucie. Zawsze wtedy dotykał jej dłoni, twarzy, włosów, uda.

Dla Saffie była to prawdziwa tortura.

Siedem koszmarnych dni później wylecieli do São Paolo, z krótkim postojem w Londynie. Była już tym wszystkim wykończona.

Gdy wysiadali z odrzutowca na lotnisku, ruszyła zniecierpliwiona w kierunku czekającego SUV-a i jej prawa stopa na grubym koturnie niebezpiecznie się zachwiała.

– *Atento!* – João chwycił ją za ramię, ratując przed upadkiem. – *Deus*, pomyślałbym, że uciekasz przede mną.

– I miałbyś rację!

Usiadł przy niej, badawczo obrzucając wzrokiem, i zatrzasnął drzwi samochodu.

– Powiesz mi, co cię ugryzło?

Zabrała z jego ręki pas bezpieczeństwa i przypięła się nim sama. Jej rozpuszczone włosy rozsypały się po całej twarzy w wyniku tego nerwowego gestu. João lekko chwycił je palcami i założył delikatnie za ucho. Musnął przy tym delikatnie jej szyję.

– W co ty grasz, João? – wyrzuciła z siebie desperacko.

– Możesz wyrazić się jaśniej, *por favor*?

– W pracy prawie ze mną nie rozmawiasz, a jeśli już, to wydajesz polecenia służbowe. A w towarzystwie wciąż… mnie dotykasz. Jakbym była jakąś łowczynią atencji. Mam już tego serdecznie dość.

Czuła, że jej twarz płonie z podniecenia. João wyprostował się.

– Nie wiedziałem, że mój dotyk jest tak przykry.

Nie jest, pomyślała. Była dumna, że udało jej się tego nie wykrzyczeć. Zadrżała.

João dostrzegł jej reakcję.

– Może porozmawiamy, gdy już dotrzemy na miejsce?

– Możemy teraz.

– No nie wiem – powątpiewał João. – Wydajesz się bardzo podekscytowana tym… czymś.

Zaczął wysiadać z SUV-a. Na miejscu czekał śmigłowiec. João chwycił ją za rękę, rzucając prowokacyjne spojrzenie. Wiedziała, że byłby w stanie donieść ją na rękach, więc pozwoliła mu się odeskortować.

Kilka minut później przelatywali nad pięknymi drapaczami chmur w centrum São Paolo. Chwilę później krajobraz zmienił się diametralnie i ujrzała biedne betonowe domki i liche baraki, pokrywające brudny krajobraz *faveli*. Widok tej nędzy i niedoboru zmroził ją. Spojrzała na João. On też patrzył w dół. Twarz miał zastygłą i ściśniętą. Wychwycił nieme pytanie w jej spojrzeniu.

– Wszystkie *favele* są do siebie w zasadzie podobne – powiedział. – Ja urodziłem się trochę w innym miejscu, bliżej Rio.

Powiedział to w taki sposób, że chciała go przytulić.

Po jakimś czasie pojawiły się piękne, rozciągające się w każdą stronę pejzaże. Saffie nigdy nie była w tej posiadłości João. Z ciekawości nachyliła się bliżej okna. Ujrzała wielką białą rzeźbę przedstawiającą pięknego ogiera. Była wkomponowana w zbocze góry i stanowiła znak

firmowy João. Podobne figury stały w każdej z jego posiadłości na całym świecie.

Lecieli nad stajniami, łąkami, po których biegały swobodnie stada koni, wielkimi altanami i kuchniami *churrascaria*, nad stadami bydła, zajmującymi ogromne przestrzenie pampy, kortami tenisowymi, basenami…

Wreszcie ukazała się posiadłość, rozciągającą się nad wielopoziomowymi, pięknie położonymi trawnikami. Była to willa o czerwonym dachu, składająca się ze swobodnie rozłożonych architektonicznych części, połączonych artystycznie w jedną całość.

Wylądowali. Wysiadając, czuła lekką bryzę owiewającą jej włosy.

João przywitał zebraną grupkę pracowników.

– Czy wszyscy mieszkają na terenie posiadłości?

– Zapewniam wikt i dach nad głową wszystkim moim pracownikom. Tak jest łatwiej.

– Łatwiej czy może bardziej wpływasz na ich życie? – zapytała, nie mogąc się powstrzymać.

Zamarł.

– Doszukujesz się romantycznych pobudek w moim postępowaniu? – odpowiedział niebezpiecznie łagodnym tonem.

Patrzył na nią intensywnie, a ona nie była pewna, czy rozumiał, jak dużo znaczył dla niej i dla wielu innych ludzi.

– Chciałeś pokazać twojemu... Pueblowi, że popełnił błąd, robiąc z ciebie swojego wroga. Lecz jesteś czymś więcej niż opinią o tobie jednego człowieka. Widziałam firmowe ankiety. Czy zdajesz sobie sprawę, jak wiele osób stwierdziło, że pracowałoby dla ciebie, nawet gdybyś obciął im wypłaty o połowę?

Przez sekundę wyglądał na głęboko zszokowanego.

– Nie wiem, do czego zmierzasz, ale zapewniam cię o jednej rzeczy: nie jestem niczyim rycerzem w lśniącej zbroi.

– To, że nie chcesz nagrody, nie znaczy, że na nią nie zasługujesz – wymamrotała.

Przez chwilę nie oddychał, wpatrywał się tylko w Saffie w osłupieniu. Potem nagle się cofnął.

– Muszę wykonać kilka telefonów. Skoro męczy cię moja obecność, to myślę, że docenisz tę szansę na odpoczynek – powiedział i zaczął odchodzić.

– Nie – odparła stanowczo.

– Słucham? – Chciał tym pytaniem zdobyć dla siebie więcej czasu na uspokojenie rozszalałych myśli. Myśli, które zazwyczaj kończyły się i zaczynały na Saffie. Potrzebował jej dotyku, jak potrzebuje się powietrza. Był od niego uzależniony. Ich wspólne występy publiczne były doskonałym usprawiedliwieniem dla tego kontaktu.

– Dzięki twojemu zachowaniu wszyscy sądzą już, że albo sypiamy ze sobą, albo wkrótce zaczniemy. Nie zamierzam odpoczywać ani działać na własną rękę, dopóki nie wyjaśnisz mi, dlaczego publicznie traktujesz mnie, jakbym do ciebie należała.

– Mówisz o tym, że nie zgadzam się na to, aby ktoś mi ukradł asystentkę?

Na jej twarz wystąpił grymas złości i zawodu.

– Nie rób ze mnie idiotki, João.

Patrzyła na niego, żądając odpowiedzi, bez świadomości, jak bardzo jej obecność rozpalała w nim chęć, by jej dotknąć.

– Chcesz wiedzieć dlaczego? – zapytał po kilku sekundach. – Próbuję cię zrozumieć, Saffie. Zamiast zadać sobie pytanie: dlaczego.

– Dlaczego co?

– Dlaczego mówię ci rzeczy, o których nikt nie wie. Dlaczego toleruję twoje nieposłuszeństwo zamiast cię zwolnić. Dlaczego tak bardzo zachodzisz mi za skórę – wydyszał.

– To wciąż nie wyjaśnia, dlaczego mnie dotykasz João.

Westchnął.

– Muszę to powiedzieć głośno? Bo wciąż cię pożądam. Zgodziliśmy się na jedną noc, a ja nie chcę dać ci wymówki do odejścia. – Zaśmiał się krótko, jakby zawstydziły go własne słowa. – Ale nie martw się. Czasem daję się porwać emocjom, nigdy jednak nie działam według nich.

Saffie przez chwilę nie mogła oddychać. Sparaliżował ją ból. Chciała zapewnić João, że się mylił i że jest lepszym człowiekiem, niż jego ojciec kiedykolwiek mógł o tym marzyć. Że Szanghaj nie był dla niej pomyłką.

Zanim zdołała odpowiedzieć, przyłożył palec do jej ust.

– Miałaś rację, to się musi skończyć. Już nie będę cię prześladował.

Odwrócił się i wyszedł.

A ona została. Jej serce waliło jak oszalałe.

Choć przypuszczała, że będzie to daremny trud, postanowiła odwrócić swoją uwagę od niego, rzucając się w wir pracy. Spotkała się z najważniejszymi pracownikami, by omówić z nimi menu, kartę win oraz listę gości zaproszonych na uroczystą kolację dla Lavinii.

Miała dwie wolne godziny, więc poszła przebrać się w kostium kąpielowy, by popływać. Narzuciła na siebie jedwabny płaszcz, wzięła okulary przeciwsłoneczne i krem z filtrem, po czym udała się prosto w stronę wody. Wyszła na rozległy taras i stanęła zamyślona przy krawędzi basenu, wystawiając twarz ku słońcu. Marzyła o tym, by móc się przestać niepokoić.

Zanurzyła się powoli w wodzie i zaczęła płynąć. Przyjemne, chłodne otoczenie uspokoiło jej rozszalałe zmysły. Przyniesiono jej poncz na bazie cytryny. Wypiła go w wodzie, po czym wyszła z basenu i usiadła na jego brzegu z zanurzonymi stopami.

Bliźnięta – pomyślała. – Podwójna miłość, podwójna radość.

Poczuła dziwne mrowienie, przeczucie obecności João.

– Saffie.

Otworzyła oczy. Stał dwa kroki od niej i patrzył na dłoń, którą oparła na swoim brzuchu. W jego oczach widniało przejęcie, jakiego nigdy wcześniej u niego nie widziała.

– João, potrzebujesz czegoś?

– *Sim*. Potrzebuję. – Wciąż patrzył na jej brzuch. – Wiesz, brazylijskie słońce jest łatwo przedawkować. Użyłaś jakiegoś filtru?

Nigdy nie widziała João całego ubranego na biało. Białe lniane spodnie o niskim stanie i taka sama lniana koszula z rozpiętymi guzikami kontrastowały z oliwkową cerą jego skóry. Saffie bała się, że straci przy nim opanowanie.

– Chciałam się jeszcze przepłynąć, zanim…

Westchnął zniecierpliwiony. Podszedł do stolika, na którym stała buteleczka kremu z filtrem. Chwycił ją i bezczelnie, w ubraniu wparował do basenu. Usadowił się na stopniu nad nią i otworzył krem.

– Co ty robisz?

– Sprawiam, że unikniesz poparzenia. Unieś włosy, Saffie – rozkazał.

Westchnęła, czując chłód kremu, który wmasowywał swoimi ciepłymi dłońmi. Kiedy silnymi i pewnymi ruchami uciskał i masował jej skórę, walczyła z całych sił, by nie jęknąć z przyjemności.

Atmosfera między nimi zgęstniała. Słychać było tylko ich oddechy i cichy plusk wody. João kusząco poruszał dłońmi wzdłuż jej pleców, tam i z powrotem. Dotarł do zawiązanego sznureczka stanika i mruknął z niezadowoleniem.

– Rozwiążę to – powiedział niskim, chrapliwym głosem. Czuła jego oddech za uchem i przeszły ją dreszcze. – Personel jest bardzo dyskretny. Nikt nie będzie cię widział, dobrze?

Dźwięk, który z siebie w odpowiedzi wydała, był żałośnie słaby. Przesunął jej rękę i dotarł do skóry na brzuchu, którego wyraźny już kształt zahipnotyzował João. Wpatrywał się w niego jak urzeczony.

– *Voce e tao bonita* – wyszeptał niemal bezgłośnie.

Lecz ona usłyszała. I zrozumiała.

„Jesteś taka piękna”.

– João…

Poczuła jego dłonie obejmujące wypukłość jej piersi. Nie powstrzymała się już. Jęknęła i odchyliła głowę, opierając ją na jego ramieniu.

Z ciężkim oddechem przesunął dłonie z powrotem na plecy Saffie.

– Poradzisz sobie z resztą sama? – wymamrotał chrypiącym głosem.

Skinęła sztywno. João wyszedł z basenu, rozchlapując wokół siebie strumienie wody.

– Nie siedź tu zbyt długo. Poleciłem przygotować kolację na siódmą.

Skinęła ponownie, zmuszając się do pozostania w bezruchu. Wiedziała, że jeśli odwróci się i ujrzy w jego twarzy ten sam głód i pożądanie, karze mu zanieść się do jego sypialni, położyć na łóżku i kochać.

Na kolację założyła stylową sukienkę z jednym ramieniem odkrytym i sięgającą poniżej kolan. Miękka bawełna przylegała do jej piersi i ud.

Oraz do brzucha, na którym spoczęło spojrzenie João, gdy pojawiła się w jadalni.

– Myślisz, że Lavinii spodoba się mecz piłkarski? – zapytała.

Zacisnął usta i przełknął łyk burgunda, ulubionej marki ze swojej winnicy.

– Moje zespoły są w czołówce ligi krajowej i rozgrywek międzynarodowych nie bez powodu, czyż nie? – odpowiedział ze swobodną arogancją.

– A zespół, przeciwko któremu jutro grają?

– Są pod nami w tabeli ligowej, czyli tam, gdzie ich miejsce – powiedział z ostrą satysfakcją.

– To drużyna twojego ojca?

– *Sim.* – Uśmiechnął się ponuro.

– Będzie jutro?

Zakręcił zawartością kieliszka.

– Tak sądzę.

– Wiedziałeś, że tak będzie i dlatego zaprosiłeś Lavinię.

– Myślę, że już wystarczy naszych umizgów. Musi podjąć decyzję i stanąć z nami twarzą w twarz. Wszystko jest przygotowane?

– Oczywiście.

Uniósł kieliszek w geście milczącego toastu.

– *Bom*. Wypijmy za sukces okupiony ciężką pracą.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Niedzielny świt zapowiadał wielkie wydarzenia.

Saffie wzięła długą kąpiel i włożyła do śniadania długą, śnieżnobiałą sukienkę, wiązaną na karku. Czekająca na nią przy schodach pokojówka zaprowadziła ją na rozległy dziedziniec, gdzie czekał już João, leniwie przeglądając gazetę. Odłożył ją, gdy się pojawiła.

– Dobrze spałaś? – Spojrzał jej w oczy.

– *Sim. Obrigado.*

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Wkrótce będziesz mówiła po portugalsku płynniej ode mnie.

– Za bardzo lubisz współzawodnictwo, by mi na to pozwolić.

Gdy kończyła śniadanie, zjawiła się pokojówka.

– *Senhor*, przybył doktor – oznajmiła. – Umieściliśmy go w apartamencie Redondo, jak pan sobie życzył.

Podziękował jej i wstał.

– Pójdziemy? – Wyciągnął rękę do Saffie.

Jednak ona wciąż siedziała.

– Czy coś się stało? Wydajesz się… nie w humorze.

– Czyżby? – Skrzywił się.

Zacisnęła usta, lecz potem postanowiła postawić sprawę jasno.

– Jeśli chodzi ci o wczoraj przy basenie, to…

– To był błąd – wszedł jej w słowo. – Lecz wywołał konieczność dokonania kilku zmian.

Jej serce zamarło.

– Co… konkretnie masz na myśli?

– Doktor czeka, Saffie. Nie przetrzymujmy go.

Była zdziwiona jego zachowaniem, lecz kiedy ponaglająco stanął za jej krzesłem, wstała i poszła razem z nim. Doktor przywitał ich w apartamencie Redondo.

Włączył maszynę i już po kilku minutach odgłos bicia dwóch malutkich serc rozległ się w pomieszczeniu.

– Rozwijają się wspaniale. Wszystko idealnie mieści się w parametrach. Doskonale sobie radzą – powiedział lekarz. – Mógłbym zaryzykować stwierdzenie o płci dzieci. Czy któreś z państwa chciałoby się dowiedzieć?

– Są zdrowe. To najważniejsze – odparł João.

– Ja bym chciała wiedzieć – zawołała Saffie.

Doktor się uśmiechnął.

– Jest bardzo prawdopodobne, że to są chłopcy.

Gdy João odprowadzał go po wszystkim do drzwi, rozległ się dźwięk śmigieł helikoptera Lavinii.

Starsza pani z miejsca zażyczyła sobie zaprezentowania całej posiadłości, więc wsiedli w mały, klimatyzowany elektryczny samochód terenowy i w trójkę ruszyli w drogę. Podczas przejażdżki Lavinia zadała João kilka delikatnych pytań, które wskazywały, że chce poznać jego zamiary i priorytety. On odpowiadał na nie z właściwą sobie mieszanką inteligencji i uroku.

To uzmysłowiło jej jeszcze jedną rzecz. João ze swoją pozycją mógł się stać samolubnym dorobkiewiczem z zamkniętym umysłem, jednak nigdy

tak się nie stało. Wręcz przeciwnie, tworzył nowe miejsca pracy dla ludzi z biednych środowisk, inwestując w ich naturalny, organiczny model prostej przedsiębiorczości.

Gdy wylądowali później helikopterem na środku stadionu piłkarskiego, witani aplauzem stu dwudziestu tysięcy fanów piłki nożnej, wiedziała już, że stało się nieuniknione.

Kochała João Olivierę.

Przyznanie tego przed samą sobą wstrząsnęło nią i jednocześnie przeraziło.

Zasiedli w prywatnej loży. Na miejscu przywitali ich burmistrz i kilku miejscowych dygnitarzy. Saffie usiadła w oczekiwaniu na początkowy gwizdek. Stamtąd podziwiała niesamowite, męskie piękno João, zastanawiając się, kiedy nastąpił moment, w którym obdarzyła go uczuciem.

Ktoś chrząknął w jej sąsiedztwie.

Siedzący obok mężczyzna był w średnim wieku.

– Chyba nie zostaliśmy przedstawieni – zagadnął. – Ernesto Blanco.

Saffie od razu skojarzyła.

– Jesteś mentorem João.

Jego brązowe oczy nieznacznie rozszerzyły się na te słowa.

Wyciągnęła rękę.

– Saffron Everhart.

– *Sim*. Asystentka na wagę złota.

Wyczuła, że nadchodził João. Ernesto wstał i uścisnęli swoje dłonie, jak mężczyźni, którzy doskonale znali swoje dobre i złe strony.

Lecz w oczach Ernesto ujrzała coś więcej, cichą dumę i uczucie.

Pomyślała gorzko, że skoro João nie przyjął miłości człowieka, który uratował mu życie, to szanse, że przyjmie jej, są śmiesznie małe.

To wszystko ją przygnębiło. Zadrżała.

Niespodziewanie João ujął jej dłonie.

– Jesteś blada, Saffie. Źle się czujesz?

Potrząsnęła głową i cofnęła ręce.

– Nie, wszystko w porządku, tylko… musimy porozmawiać.

– Skąd ten pośpiech? – zapytał z cieniem obawy w oczach.

Muszę to zrobić, żeby nie pękło mi serce – pomyślała.

– Myślę, że wygrałeś już układ z Lavinią Archer, naprawdę – zapewniła. – Więc chyba zgodzisz się ze mną, że moja część umowy dobiegła końca?

Jego wzrok był nieprzenikniony.

– *Sim.* Jeśli taka jest twoja wola. Wkrótce porozmawiamy.

– Dziękuję. – Zmusiła się do kiwnięcia głową.

João zaprowadził ją do pierwszego rzędu foteli. Po odegraniu hymnu państwowego zespoły rozpoczęły grę. Klub João prezentował się wyśmienicie. Gdy po raz trzeci złapała spojrzenie mężczyzny zajmującego sąsiednią lożę, zorientowała się, że ma do czynienia z Pueblem Olivierą.

Rzuciła okiem na João. On uśmiechnął się do niej ponuro.

– To twój ojciec?

– Jeżeli chodzi ci o tego tam, dawcę nasienia, to tak. – Popatrzył lodowato w stronę Puebla. – Nie zasłużył na to, by nazywać go ojcem.

W napiętej atmosferze przebiegł cały mecz. Gdy wreszcie rozbrzmiał końcowy gwizdek, Lavinia z szerokim uśmiechem odwróciła się do João.

– To było niesamowite. Już rozumiem, skąd fenomen tej gry.

João uprzejmie przyznał jej rację, jego myśli jednak gdzieś się błąkały. Atmosfera była niezwykle gęsta.

Wreszcie pojawił się Pueblo. Wparował nieproszony do ich boksu, witając się z zebranymi w nim ludźmi. Był człowiekiem przed sześćdziesiątką, ze szpakowatymi włosami i twarzą, która niezwykle przypominała twarz João. Podszedł do nich. Zignorował swojego syna i próbował zająć rozmową Lavinię. Ona jednak, pomimo uprzejmości i uśmiechów, którymi obdarzała Puebla, wciąż skupiona była na João, pytając go o wrażenia z meczu, winnice w tym regionie oraz o jego plany wobec Archer Cruise Liners, sieci stoczni, którym nadała swoje imię.

– Zamierzam zachować tę nazwę – powiedział João. – Mam w Grecji stocznie, które budują liniowce, lecz jestem gotowy na zmianę ich nazwy na Archer Oliviera Cruise Line, jeśli się zgodzisz.

Lavinia była pod wrażeniem.

– Zrobiłbyś to?

– Masz moje słowo.

Pueblo prychnął.

– Radzę się wstrzymać, dopóki nie będzie pani miała tego na piśmie, pani Archer – zakpił.

Saffron nie umiała się powstrzymać.

– Pana syn nigdy nie łamie danego słowa, panie Oliviera – wypaliła.

João stężał, lecz gdy na niego spojrzała, twarz miał opanowaną i spokojną. Nie spuszczał wzroku z Puebla. Ten, zaskoczony, uniósł brwi.

– Widzę, że znalazłeś kolejną kobietę do obrony – po raz pierwszy odezwał się do syna. – Myślałem, że twoja żałosna matka będzie ostatnia.

Saffie wzięła oddech, lecz João ją wyprzedził.

– Obaj wiemy, że robiła to, by wyciągnąć pieniądze na narkotyki. Pytanie, czy bardziej żałosne nie było opłacanie narkomanki w zamian za seks?

Pueblo poczerwieniał na twarzy. Zrobił krok w stronę syna, bezgłośnie poruszając wargami.

– Co chcesz mi powiedzieć? – zimno prowokował go João. – Że udowodniłem ci, jak bardzo się myliłeś, a mimo to wciąż wydaje ci się, że odgrywasz jakąś ważną rolę w tej grze?

Pueblo zaśmiał się chrapliwie.

– Naprawdę myślisz, że jesteś ode mnie lepszy?

– Liczby mówią same za siebie. – João rozłożył ramiona.

Pueblo był jednak zbyt dumny, by przyznać, że został pokonany.

– Wygrywałem na długo, zanim się urodziłeś – warknął.

– I do tej pory nie zrozumiałeś, że potrzeba odrobiny troski i zaangażowania, by odnieść prawdziwy sukces, a nie tylko wyciągać korzyści materialne. Ja wiem, czego chcę, umiem to określić i utrzymać, podczas gdy ty łapiesz i wyciskasz, nie widząc w tym później żadnej wartości.

Niepewność osłabiła narastającą w Pueblu furię. Wokół nich zebrała się już ciekawska publika. Bez słowa odwrócił się więc na pięcie i wyszedł wraz z towarzyszącą mu świtą.

Twarz João rozprężyła się na tyle, że Saffie dostrzegła jego ból. Chciała go wesprzeć, położyła więc dłoń na jego ramieniu. Ten zerkał na nią, czując, jak kolejna fala trudnych emocji przelatuje przez jego umysł. Dotąd nie doceniał niszczącej siły, z jaką Pueblo oddziaływał na niego. Pomyślał, że to przez Saffie poczuł ją w takim nasileniu. Przez to, że oznajmiła mu swoje odejście. Zastanawiał się, czy oprócz podobnej twarzy nie odziedziczył po Pueblu czegoś więcej, i poczuł się bardzo źle.

– Przepraszam cię za to – zwrócił się do Lavinii.

Starsza pani potrząsnęła głową.

– Nie ma za co, João – odparła. – Nie bez przyczyny żaden z moich synów nie jest teraz przy mnie. Rodzina to skomplikowana sprawa.

Atmosfera się rozluźniła. Po kilku minutach pogawędki z Ernestem, Lavinia nagle odwróciła się do João.

– Jak rozumiem, jest jeszcze jeden twój projekt, który powinnam zobaczyć?

João był wyraźnie niezadowolony.

– Co się stało? – zapytała Saffie.

– Ernesto nie może się powstrzymać od wsadzania nosa w nie swoje sprawy – stwierdził kwaśno.

Lecz Lavinia wyczuła chwilowe osłabienie gospodarza i postanowiła skorzystać z tej okazji.

– Zapomnijmy o przyjęciu na moją cześć i innych cudach twojego pięknego kraju – naciskała. – Pokaż mi ten projekt, a do rana będziesz miał moją odpowiedź.

– To nie ma nic wspólnego z naszymi negocjacjami.

– Lecz wszystko z tym, kim jesteś – włączył się Ernesto z cichą, lecz niezłomną stanowczością. Taką, która była w stanie ukształtować imponującą osobowość młodego, zagubionego chłopca z *faveli*.

Uciekł wzrokiem, bojąc się wystawienia na cios.

– Wygląda, że będę musiał zmierzyć się jeszcze z czymś – stwierdził.

Wyruszyli w czwórkę helikopterem, kierując się w stronę północnych obrzeży São Paolo. Kilka kilometrów dalej, za nietkniętymi ludzką ręką terenami, helikopter zaczął obniżać lot. Ich oczom ukazało się nowe osiedle, pięknie wkomponowane w urokliwy pejzaż.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała Saffie, kiedy pomógł jej wysiąść ze śmigłowca.

– João Cidade – uśmiechnął się Ernesto.

– Miasto João? – zdziwiła się.

– Nikt tego tak nie nazywa – wtrącił się João.

– Nikt, z wyjątkiem tych, którzy w nim mieszkają – odparł Ernesto.

Znajdowało się tam około trzydziestu nowoczesnych bloków, otoczonych infrastrukturą, świetnie utrzymanych i zorganizowanych. Pół kilometra dalej dźwigi i koparki zaangażowane były w budowę kolejnego przedsięwzięcia. Na ich widok w parku zebrała się spora grupa mieszkańców, którzy głośnymi okrzykami witali João. On przyjmował ich serdeczne głosy skinieniami, lecz pozostał napięty. Gdy przechodzili przez mały skwerek zobaczyli ławkę, na której ktoś wydrapał napis: „João Cidade” i kilka serduszek.

– Miasto João. – Saffie zatrzymała się. – Ty… ty to zbudowałeś.

– Nie tylko zbudował, ale dalej buduje – dodał Ernesto. – Pięćset domów co kwartał. Oddaje je za darmo rodzinom z *faveli* każdego grudnia.

W jego głosie słychać było dumę. Saffie z wrażenia otworzyła usta.

– Nadzwyczajne – stwierdziła Lavinia.

João nie odpowiedział. Gdy weszli do jednego z mieszkań, podszedł do okna i obserwował kamienną fontannę zdobiącą podwórko.

– Od dawna to trwa? – dociekała Saffie.

– Zacząłem osiem lat temu. Dwa lata zajęła cała biurokracja, a po osiemnastu miesiącach stanęły pierwsze domy.

– Osiedlasz tych ludzi już od czterech lat? – Była zszokowana.

– Saffie… – Zrobił krok w jej kierunku.

Nie dokończył, gdyż przy drzwiach zrobił się zgiełk. Saffron odwróciła się i zobaczyła kobietę w ciąży, z dwójką małych dzieci uczepionych jej spódnicy. Niepewnie i z wahaniem zwracała się do João.

Skinął do niej i weszła. W rękach miała bukiet kwiatów. Zaczęła mówić bardzo szybko po portugalsku. Saffie nie potrzebowała słownika, by zrozumieć, że kobieta dziękowała za odmienienie życia. Była niezwykle poważna, a jej twarz rozjaśnił uśmiech, gdy jedno z dzieci na polecenie matki podeszło do niego ze słowami:

– *Obrigado, Senhor Oliviera.*

W oczach Saffie wezbrały łzy. Nie wiedziała, dlaczego João postanowił ukrywać przed światem swój projekt, choć się domyślała. Chciała nim wstrząsnąć, zapewnić go, że chęć napisania na nowo swojej historii nie jest oznaką słabości.

Byli już w połowie drogi powrotnej, kiedy Saffie spostrzegła, że João nie wziął ze sobą bukietu.

Gdy wrócili do posiadłości, Lavinia oświadczyła João, że zdecydowała się sprzedać mu swoje imperium. João triumfował, lecz był to triumf nadzwyczaj poważny.

Oficjalne oświadczenie na ten temat miało zostać wydane w poniedziałek rano, według brazylijskiego czasu. Saffie wysłała odpowiednie notki do agencji prasowych w Londynie i w Nowym Jorku.

Dwie godziny później spacerowała po tarasie otaczającym północne skrzydło. W jej sercu biła zarówno panika, jak i dzika nadzieja. Za nią w pojemniku z lodem chłodził się szampan.

Czekała na João. Postanowiła, że wreszcie przejmie kontrolę nad swoim życiem. Chciała wyznać swoje uczucia.

– Pomogłaś mi w odniesieniu największego sukcesu w moim życiu, a teraz wzywasz mnie jak do pożaru – usłyszała głos w drzwiach.

Odwróciła się i zobaczyła go. Miał ponury wzrok i był spięty. Chciała zapytać, dlaczego nie świętuje sukcesu, lecz zrezygnowała. Nie chciała, by ją zwodził. Zrzuciła na leżak swoją etolę i odwróciła się, by wyjąć z lodu szampana. Wszędzie wokół na stołach porozkładano na jej polecenie wspaniałe potrawy i przekąski.

– Zamówiłam to, na wypadek gdybyś zgłodniał.

– To miło – uśmiechnął się, lecz w jego oczach nie było wesołości.

Odstawił na bok sporej wielkości płaskie, atłasowe pudełko, wyjął butelkę z jej rąk i zaczął ją otwierać.

– Co to jest? – Wskazała na pakunek.

– Dojdziemy do tego. O co chodzi z tym szampanem?

– Pomyślałam, że skoro zamknąłeś interes życia, to chociaż jedno z nas powinno świętować.

Zacisnął usta, gdy manipulował przy korku, aż ten wystrzelił. Dźwięk był słaby, ledwo słyszalny. Napełnił dwa kieliszki i odłożył butelkę. Po swój kieliszek nawet nie sięgnął. Zamiast tego pochylił się po pudełeczko.

– To dla ciebie.

Nie wzięła go.

– Chyba się domyślam, co to może być. Nie chcę, João.

– Nie wiesz, co w nim jest.

– Kolejny bezcenny podarunek, który ma sprawić, że będę nadal wykonywała swoją pracę.

Zignorował jej słowa i otworzył pudełko.

Rzuciła okiem na zawartość. Były to żółte diamenty, nie umiała ich nawet zliczyć. Musiał wyczyścić cały magazyn Harry’ego Winstona, by wykonać ten naszyjnik.

– Dlaczego to robisz? – wyszeptała załamanym głosem.

– Bo lubię wynagradzać świetnie wykonaną pracę.

– Nie musisz mnie przekupywać, João. Ja już… – Zatrzymała się. Postanowiła, że wróci do swojego meritum. – Dlaczego ukrywałeś swój projekt?

Zatrzasnął pudełko i postawił je na stole, jakby jego zawartość była nic niewarta.

– Bo to tylko moja sprawa.

Zabolało ją.

– Nie ma niczego dziwnego w dostarczaniu domów tym, którzy ich potrzebują – kontynuował zdenerwowany. – To zwykła kwestia popytu i podaży.

– Nie wierzę ci – odpowiedziała miękko. – To tutaj przyjeżdżałeś w każde święta, prawda?

– Uważaj. – Uśmiechnął się nieszczerze. – Zaraz powiesz, że jestem Świętym Mikołajem.

– Nie. Ale powiem, że chociaż nie uważasz się za rycerza w lśniącej zbroi, to dla nich z pewnością nim jesteś.

– Znów ten romantyzm.

– Nie ma nic złego w tym, że chciałbyś, aby ktoś zrobił to samo dla twojej matki, a twoje dzieciństwo było mniej…

– Okropne? Przerażające? Przeszłości nie da się zmienić.

– Wiem, ale zmieniasz teraźniejszość i przyszłość. Nie rozumiem, dlaczego to ukrywasz.

– Jest różnica między ukrywaniem czegoś, a trzymaniem dla siebie.

– Ale dlaczego…?

– Dlaczego nie ogłaszam światu, że jestem synem prostytutki? Że własny ojciec mnie nie chciał? – Pochylił się nad nią.

– João…

– Wystarczy, Saffie. Wciąż zamierzasz ode mnie odejść?

Już chciała powiedzieć „nie”, ale powstrzymała się w ostatniej chwili.

– To zależy.

Na skroni João wystąpił tik.

– Nie reaguję dobrze na stawianie mi ultimatum – stwierdził.

Wiedziała, że musi ostrożnie dobierać słowa.

– To nie żadne ultimatum. Chcę wiedzieć, na czym stoję.

– Tu gdzie zawsze, tuż przy mnie. – Zacisnął szczękę.

Zwątpiła, ale zmusiła się, by nie odpuścić.

– Nie mówię o pracy. Chodzi mi o to… między nami. I nasze dzieci.

I moje serce – dodała w myślach.

– Wiem, że zamierzasz uznać dzieci – podjęła na nowo, oblizując nerwowo wargi. – Ale… czy w tym wszystkim jest miejsce dla mnie?

– O co mnie dokładnie pytasz, Saffie?

– Wiesz o co. O zaangażowanie.

Jego twarz zamieniła się w kamień.

– Zapakowane w serduszka i róże? Przykro mi, ale to nigdy nie nastąpi.

– Dlaczego? – Z jej złamanego serca wydarło się pytanie, które było jak płacz.

– Pytam jeszcze raz: zamierzasz zostać?

Nie mogła oddychać. Czuła się, jakby serce pękło w niej na miliony ostrych szpileczek.

– Nie. Umowa z Archer jest zakończona. I moja rola też.

Patrzył na nią zimnym wzrokiem przez kilka chwil. Wreszcie wyciągnął coś z tylnej kieszeni.

– Moi prawnicy przygotowali porozumienie.

– Po co? – Saffie była załamana.

– Mam teraz nowe sprawy do zabezpieczenia. – Położył dokumenty przy pudełku i odwrócił się. – Przeczytaj je. Później przyjdź do mojego gabinetu.

Wyszedł, nie odwracając się za siebie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Głos Saffie drżał z emocji.

– To ma być jakiś żart?

João nie odwrócił się. Stał, wpatrując się w okno. Podeszła bliżej, by mu się przyjrzeć. Zgrzytnął zębami, co upewniło ją, że usłyszał pytanie. Wreszcie zwrócił ku niej twarz, z której można było wyczytać wszystko.

– To dokument prawny. Jak myślisz?

Saffie podniosła papiery trzęsącą się ręką.

– Tu jest napisane, że… – musiała przełknąć, by móc głośno powiedzieć te niewiarygodne słowa – …domagasz się opieki nad moimi dziećmi!

– To także moje dzieci – poprawił ją chłodno.

– A data na nich jest… to zaledwie dzień po badaniu USG.

– Wiesz, że nie lubię marnować czasu, kiedy mi na czymś zależy.

– Więc… twoje pytania… Sprawdzałeś mnie?

Siła jego spojrzenia rozłożyła się wzdłuż kręgosłupa Saffie. Podszedł do niej i delikatnym, lecz pewnym dotykiem ujął palcami jej podbródek.

– Nosisz moje potomstwo, Saffie. A ja domagam się tego, co moje.

– Przestań to powtarzać. Nie są twoje! Jeżeli już, to są nasze.

– Nie, jeżeli zamierzasz odjechać z nimi w stronę zachodzącego słońca. – Potrząsnął głową.

– Proszę, wytłumacz mi, co się dzieje. Jeszcze kilka tygodni temu bagatelizowałeś moją potrzebę bycia matka, a teraz to?

Przez chwilę milczał.

– Mówiłem ci już. Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia – zażartował ponuro.

– Pokazałam ci dwie nowe zabawki, a teraz musisz mi je koniecznie odebrać?

Popatrzył na nią i westchnął.

– Wolałbym, żeby do tego nie doszło.

– Ale tak się stanie. Dlaczego? – Niemal łkała.

– Zabezpieczam się. Nigdy się nie zgodzę, żebyś zabrała te dzieci ode mnie, Saffie.

Dokument wysunął się z jej zesztywniałych dłoni.

– Mój Boże – jęknęła. – Pomyśleć, że broniłam cię przed twoim ojcem.

– Nie trzeba było. Może mam z niego więcej, niż się może wydawać? Biorę, co chcę, i do diabła z konsekwencjami. Nie przypomina ci to czegoś? – odgryzł się złośliwie.

Ujrzała w nim jednak cień zawahania, jakby sam nie wierzył w to, co mówił.

– Oboje wiemy, że to nie jest prawda. Już trochę za późno, by chować się za jego plecami, João. Jesteś sobą.

– Może, ale geny mówią same za siebie.

– I tego zamierzasz uczyć naszych synów? Że jabłko zawsze pada niedaleko od jabłoni? Że muszą być jak ich dziadek?

Zgrzytnął zębami.

– Nigdy nie usłyszą ode mnie jego imienia – powiedział twardo.

– Czyli dostałam odpowiedź. Nie wiem, może to reakcja na spotkanie z ojcem…

Zamilkła, próbując wyczytać coś z jego twarzy. Nieskutecznie.

– Zamieszkał w twojej głowie, João – kontynuowała. – Wiesz, że nie podpiszę tych dokumentów?

– Moi prawnicy odezwą się do ciebie.

– Dlaczego to robisz? O to ci chodziło podczas tych kilku tygodni?

Zmarszczył brwi.

– *Do que voce esta falando*? – zapytał zdziwiony.

– Wiesz, o czym mówię. O seksie, o publicznym okazywaniu uczuć. Rozmiękczałeś mnie, by móc je później przejąć?

Podszedł do biurka i rozparł się w fotelu.

– Nie będzie przejęcia, jeżeli podejdziemy do tego rozsądnie.

– Chcesz rozsądku? To zniszcz te dokumenty.

– Uspokój się, Saffie.

– Nie tym tonem, João. Planowałeś to od tygodni. Wycofaj się z tego – zażądała.

– Zostaniesz?

– Nie.

Błysk w jego oczach utwierdził jej najgorsze obawy.

– Więc nie mamy o czym rozmawiać.

Poczuła, że krew odpływa z jej twarzy. Podeszła do biurka i podarła nad nim umowę na strzępy, nie spuszczając wzroku z João.

Modliła się przy tym, by nie uronić ani jednej łzy.

Przyjęcie było oszałamiające. Willę João, bajecznie wkomponowaną w półwysep Cap-Ferrat na Lazurowym Wybrzeżu, oświetlały setki migoczących świateł. Nieopodal w zatoce, po której wodach roznosiły się dźwięki muzyki, zacumowany był superekskluzywny jacht. Tam także, wśród świateł i hałaśliwego gwaru, odbywała się druga część imprezy.

To wszystko było dziełem osobistej asystentki, której już z nim nie było.

João był zirytowany i w fatalnym nastroju. Przez te emocje przebijała się jedna rzecz: poczucie straty, które nieustannie mu towarzyszyło.

Saffie odeszła trzy tygodnie temu, lecz wszystko wokół było z nią powiązane. Prowadziło wprost do jej niesamowitej perfekcji działania. Patrzył na zamówione przez nią skrzynki wybornego koniaku i nie miał nawet ochoty się napić.

Ani jeść.

Ani spać.

Za nim bawili się najwięksi tego świata, jakby miało już nie być jutra, a on cierpiał. Wszystko straciło blask. Nie wiedział nawet, jakim cudem udało mu się odbyć sensowną pogawędkę z Lavinią podczas oficjalnej konferencji prasowej poprzedniego wieczoru. Potwierdził wtedy, że zamierzał podtrzymać tradycję i uszanować dzieło jej życia.

Jednocześnie świadomość kolosalnego błędu, jaki popełnił wobec własnego dziedzictwa, bezlitośnie go prześladowała.

Kobieta, która znała go lepiej, niż on znał samego siebie, zniknęła z jego świata z taką skutecznością, że niemal to podziwiał. Nie otrzymał od niej ani jednego śladu życia, ani jednego sygnału. Nie przyjęła willi w Amalfi, zamieszkała na prywatnej wyspie. Można się było na nią dostać, wyłącznie posiadając specjalne zaproszenie. Zwróciła całą biżuterię i odrzucała każdy telefon od João. Jej jedyne zdjęcie, które posiadał, było nieostre i przedstawiało Saffie na plaży z dłonią na brzuchu, w którym rozwijały się jego dzieci.

Toksyczna rozgrywka z Pueblem doprowadziła do tego, że historia powtórzyła się, choć w zupełnie innej formie. João tak bardzo chciał być inny od ojca, że poprzez swoje czyny osiągnął dokładnie ten sam efekt.

Wzdrygnął się. Nie umiał się wyzbyć poczucia własnej nędzności. Wyrzucał sobie, że miał czelność do niej dzwonić po tym, co jej zrobił. Co im zrobił.

Początkowo bezczelnie myślał, że nic się nie stało, że da sobie radę. Lecz się mylił. Jego pracownicy kryli się lękliwie, gdy nadchodził. Nowy asystent irytował go nieprzeciętnie tylko dlatego, że nie był Saffron. Nie umiał się odnaleźć w żadnej z rezydencji. Nie umiał traktować ich jak domu.

Nie bez Saffie.

Otworzyła przed nim serce, walczyła o niego. Chciała, by stali się lepszymi wersjami samych siebie. Teraz to wiedział. Lecz wtedy był zbyt ślepy i uparty, by w ogóle wziąć to pod uwagę. Zniszczył to w zarodku, a teraz było za późno.

Usłyszał zbliżające się kroki, lecz się nie odwrócił.

– Monsieur Oliviera? Goście czekają na pana na tarasie. Za chwilę rozpocznie się pokaz sztucznych ogni.

João zacisnął pięść.

– Powiedz im, że mam ważniejsze rzeczy – rzucił opryskliwie. – Mogą się zająć sobą sami.

– *Monsieur?*

– Wezwij mojego pilota. Każ mu przygotować samolot.

Może jest już za późno, ale chcę usłyszeć to od niej – zadecydował.

Saffie siedziała przy gazecie, której nagłówek wykrzykiwał wielki sukces João Oliviery. Przejęcie aktywów Lavinii Archer spowodowało, że pozostawił konkurencję daleko poza swoim zasięgiem. Żałowała, że otworzyła gazetę. João umiał zranić ją nawet na odległość. Próbując się uspokoić, zwróciła uwagę na hałaśliwe poruszenie, którego źródła nie

umiała zlokalizować. Hałas dobiegał zza okien wynajętej willi i rósł z sekundy na sekundę. Wyszła przed drzwi posiadłości.

– Co się dzieje? – zapytała jednego z dozorców.

– Nadlatuje helikopter – stwierdził mężczyzna.

Ujrzała tumany piasku, które wzburzał ruch śmigieł.

– Co on robi?

– Próbuje lądować, proszę pani.

– Tu nie ma lądowiska. To niebezpieczne.

– Najwyraźniej nic sobie z tego nie robi.

Zmarszczyła brwi, jej serce zabiło mocniej. Znała tylko jednego człowieka, który reprezentował równie wspaniałe, jak i przerażające zachowania. Okazało się, że brak wiadomości od João było ciszą zwiastującą burzę. A burza właśnie nadeszła.

– Proszę pani? Mam wezwać policję? – dopytywał dozorca.

Patrzyła na unoszącą się nad ziemią maszynę. Helikopter obracał się, aż wreszcie ujrzała człowieka za sterami. Był to João.

Przełknęła ślinę i potrząsnęła głową.

– Nie. Niech wyląduje.

Jakby słysząc jej słowa, helikopter osiadł na trawniku. Wir śmigieł kołysał szczytami otaczających go palm.

Saffie nie chciała, by dojrzał w jej oczach mieszaninę obawy i tęsknoty, które tak bardzo nią targały, wróciła więc do apartamentu.

João odnalazł ją w salonie. Widok jej twarzy i cudownego, wyraźnie zarysowanego już łuku brzucha odebrał mu oddech.

– *Voce e linda*, Saffie – wyszeptał z przejęciem, zanim zdołał się opanować.

– Wspaniałe wejście, João. Spektakularne. Ale wiedz, że moja gospodyni zaalarmuje władze, jeśli nie opuścisz wyspy w przeciągu trzydziestu minut. Nie marnuj więc czasu na komplementy.

– Mogę zaryzykować więzienie, jeśli tylko mnie wysłuchasz.

Czekał na jakiś gest. Wreszcie wskazała mu oddalony od siebie fotel. Usiadł.

– Saffie… to, co mówiłem… co zrobiłem w São Paolo…

– To było żałosne. Prawdopodobnie nigdy ci tego nie wybaczę.

Uchwycił się tego „prawdopodobnie”.

– Wyszedłem z nędzy i przez połowę życia nie miałem nic. Nie chciałem mieć dzieci, ponieważ myślałem, że nie nadaję się do roli ojca. Przeraźliwie się tego bałem, lecz kiedy się okazało, że jesteś w ciąży, to się zmieniło – rozpoczął João. – Niestety, moje pobudki nie były szlachetne. Chciałem być lepszym ojcem niż Pueblo.

Saffie zrozumiała. Poczuła ukłucie bólu i towarzyszące mu rozczarowanie.

Przełknął nerwowo.

– Jak wiesz, nigdy nie ubijam interesu, jeśli nie mam nic w zamian. Groziłaś, że mnie opuścisz, najpierw w pracy, później z moimi…

– Naszymi dziećmi.

– *Sim*. Dwójką najcenniejszych rzeczy, jakie razem stworzyliśmy. Nie umiałem inaczej zareagować. Potem to spotkanie z Pueblem, po tylu latach… Zapanował nad moją głową. To, co mówiłaś wtedy o mnie… to wszystko prawda. Starałem się ukryć to przed światem, ale teraz chcę się nauczyć to zaakceptować. Nie potrafiłem tak po prostu zaufać.

– A teraz mi ufasz?

– W całości. Było mi łatwiej poruszać się w sferze zawodowej. Tylko tam czułem się pewnie. Nie chciałem i nie umiałem się otworzyć na uczucia. Sam nie byłem kochany i nie umiałem kochać. Stąd pomysł na kontrakt. Miał oczyścić tę sytuację z emocji.

Saffie splotła ramiona w geście obrony.

– Zrozumiałam twoje pobudki. Lecz czy mogę ci zaufać? Po tym wszystkim?

Podszedł do niej z bólem wypisanym na twarzy.

– Daj mi szansę to udowodnić. Nie będziemy mieszali w to prawników, dasz dzieciom nazwisko, jakie zechcesz. Proszę cię tylko, żebyś przyznała mi jakąś rolę w ich życiu. Chciałbym stać się ich ojcem. Nie posiadać, lecz kochać i się o nie troszczyć. Jeżeli nie zechcesz, żebym miał cokolwiek z nimi wspólnego…

Powstrzymała dalsze słowa, kładąc swój palec na jego ustach.

– Nie zrobię tego. Zbyt wiele razem przeszliśmy. Wtedy, na tarasie, właśnie to zamierzałam ci powiedzieć. Chciałam, byśmy razem wychowywali nasze dzieci. Nawet jeśli nie czujesz do mnie… żadnych uczuć, chcę, żebyś kochał właśnie je. Potrzebowałam wtedy twojego zapewnienia, że się zaangażujesz.

Jego ciało przeszył dreszcz.

– Najcenniejsza umowa mojego życia – westchnął João, zamykając oczy. – I przegrałem ją z kretesem.

Poczuł jej miękkie dłonie na swoim policzku.

– Jeszcze nie jest za późno – usłyszał jej głos. – Jeśli naprawdę tego chcesz…

– *Meu Deus.* – Chwycił ją za ręce. – Tak. Chcę, Saffie.

Jej oczy pociemniały.

– Więc chcesz być rodzicem?

– Nie mam prawa prosić o więcej.

– A to cię kiedyś powstrzymywało?

– *Meu amor*, może nie jestem zbyt lotny, jeśli chodzi o emocje, ale szybko się uczę. Jeśli posuwam się z daleko…

– Umiesz być bezczelny, bezwzględny i przebiegły, kiedy potrzeba. Nie zawiedź mnie, João. – W jej szepcie wybrzmiała prośba.

Serce João zabiło mocniej.

– Saffie, czy ty… – wychrypiał, po czym głos mu się załamał. Po raz pierwszy w życiu nie umiał głośno wypowiedzieć swojej woli.

– Zapytaj mnie – zażądała.

Wciągnął głęboko powietrze i wyrzucił z siebie jednym tchem:

– Chcę być więcej niż tylko ojcem naszych dzieci. Pragnę twojego serca, twojego zaufania i prawa do tego, bym mógł nazywać cię moją. Chcę cię kochać tak mocno, jak na to zasługujesz. Adorować do ostatniego tchu.

Wstrzymał oddech, gdy ujrzał, jak jej oczy wypełniają się łzami. Saffie załkała i rzuciła mu się w ramiona. Objął ją i trzymał mocno. Po raz pierwszy João Oliviera poczuł, że naprawdę wrócił do domu.

– Jak udało się przyjęcie?

João wtulił twarz głęboko w szyję Saffie. Jego żądza, która chwilowo opadła po spędzeniu czterech wspólnych godzin w łóżku, znów się przebudziła.

– Nie wiem – odparł. – Wyszedłem pół godziny po rozpoczęciu.

– Nie zrobiłeś tego! – Spojrzała mu w oczy z nutką nagany.

– Bez ciebie to nie było świętowanie. Tylko ty się liczysz, kocham cię, Saffie.

Z jej oczu popłynęły łzy.

– Kocham cię, João – szepnęła.

Całowali się długo i namiętnie. Wreszcie João uniósł głowę.

– Poza tym mam wrażenie, że… byłem ostatnio trochę nieprzyjemny. Ludzie uciekali na mój widok. – Zaśmiał się. – Potrzebuję cię przy moim boku. Musisz… mnie nieco złagodzić.

Ona również się roześmiała. Był to dla niego najpiękniejszy dźwięk.

– Jesteś najbogatszym człowiekiem na świecie, ludzie i tak będą onieśmieleni.

– Nie zależy mi na bogactwie. Chcę być dla ciebie najlepszym mężem, najlepszym ojcem tej dwójki. – Pogładził dłonią jej brzuch. Popatrzył jej głęboko w oczy. – Zostań moją żoną, Saffie. Uczyń mnie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Rozpłakała się. Przez spazmy pokiwała głową.

– *Sim. Para sempre sim* – wyszeptała, co spowodowało, że i jemu zaszklił się wzrok.

Kochali się ponownie. Gdy po tym miłosnym akcie zmęczona zasypiała, poczuła, że João rozprostowuje jej dłoń zwiniętą w pięść. Otworzyła oczy i ujrzała na swoim palcu cudowny pierścionek z brylantem.

– Kocham taką biżuterię. Tak jak kocham ciebie. – Spojrzała na niego z taką miłością i oddaniem, że poczuł się nieśmiertelny.

EPILOG

Cztery lata później

– João? Co ty…? – Saffie ujrzała uciszający gest palca na jego ustach.

– Ciii…

Zbita z tropu przyglądała mu się przez chwilę.

Wpół rozbawiony, wpół oczarowany João wskazał jej powód swojego zachowania. Uśmiechnęła się na ten widok.

To była ich pierwsza noc po powrocie do posiadłości w São Paolo. Saffie była wykończona i czekała na swojego męża w łóżku. Gdy się nie pojawiał, postanowiła go odszukać. Odnalazła go w drzwiach pokoju bliźniaków. Milczącym gestem dawał jej znaki, by podeszła. Uśmiechnięta wtuliła się w jego ramię.

– Spójrz – wyszeptał.

Carlos i Antonio, trzyletnie identyczne bliźnięta, stały naprzeciwko siebie, twarzą w twarz. Byli zaangażowani w poważną dziecięcą paplaninę. Carlos trzymał w dłoni swojego ulubionego niebieskiego wieloryba, bez którego nigdzie się nie ruszał. Antonio miał jego drugą ulubioną zabawkę w ręce. Kiedy sięgnął po niebieskiego wieloryba swojego brata, Saffie chciała wkroczyć. João powstrzymał ją.

– Nie. Obserwuj – szepnął.

Przez kolejne kilka minut dzieci paplały swoją dziecięcą portugalszczyzną. Carlos zatrzymał wieloryba. Po kilku sekundach Antonio

przyniósł swoją czerwoną ciężarówkę i się wymienili. Następnie uśmiechnięci padli sobie w ramiona.

– Jeszcze miesiąc temu walczyliby o nie z całych sił – stwierdził João. – Nauczyli się sztuki negocjacji.

Rozpierała go duma.

– Chyba jeszcze nie są gotowi do sali obrad, João. – Objęła go ramieniem.

Uśmiechnął się.

– Jeszcze nie, ale jak już się nauczą walczyć o swoje i nie odpuszczać…

– Tak jak zrobiłeś z ich mamą?

Pocałował ją długo i namiętnie, aż przeszły ją dreszcze. Zaborczym gestem wziął ją na ręce. Upewnił się, czy niania zajęła się chłopcami, po czym zaniósł Saffie do sypialni.

Położył ją na łóżku i dwoma szybkimi ruchami zrzucił z siebie polo i spodnie dresowe. Nagi dołączył do niej. Oczy mu błyszczały.

– Powiedz mi, *meu curacao* – wyszeptał. – Czy jesteś szczęśliwa?

Wciąż nie mogła uwierzyć, że ten potężny mężczyzna tak bardzo się o nią troszczy.

– Słowa nie są w stanie opisać mojej radości, João. Lecz może znajdę kilka, które będą pasowały.

Ujęła jego dłoń, rozprostowała palce i pocałowała z czułością jej wewnętrzną stronę. Następnie przesunęła ją na swój brzuch.

– Saffie? – João wstrzymał oddech.

– Byłam dziś u doktora Demarco – wyszeptała ze łzami w oczach. – Jestem w dziesiątym tygodniu.

Jego oczy w kolorze złotej whisky z przejęciem patrzyły w jej twarz.

– *Meu Deus*. Myślałem, że wiem, co to szczęście, ale ty wprowadzasz mnie w coraz to nowe wymiary.

Całowali się namiętnie. João zdjął z niej ubranie, a ona z radością powitała go w sobie. Gdy po miłosnym zespoleniu łapali łapczywie hausty powietrza, Saffie objawiła mu ostatnią radosną nowinę:

– Były dwa serca, João. Mamy kolejne bliźnięta.

Z wilgotnymi oczyma zbliżył do niej swoje usta.

– Saffie, moja Saffie – wyszeptał z niedowierzaniem. – Przy tobie mój kubek jest naprawdę przepełniony. *Eu te amo muito.*

– Ja też cię kocham.

SPIS TREŚCI:

OKŁADKA
KARTA TYTUŁOWA
KARTA REDAKCYJNA
ROZDZIAŁ PIERWSZY
ROZDZIAŁ DRUGI
ROZDZIAŁ TRZECI
ROZDZIAŁ CZWARTY
ROZDZIAŁ PIĄTY
ROZDZIAŁ SZÓSTY
ROZDZIAŁ SIÓDMY
ROZDZIAŁ ÓSMY
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY
EPILOG